ROK LXV.

N° 1.

KURJER WARSZAWSKI

Dnia 1 stycznia (20 grudnia)

1885.

KURJER WARSZAWSKI.

NUMER NOWOROCZNY.

Rok 1885.

U Indów był zwyczaj, gdy gromy i burze
Wieściły okrutny gniew Shiwy,
By Boga przebłagać, na białym marmurze
Bramini znak ryli szczęśliwy.

I dzisiaj na ludzkość mrok zapadł ponury,
I burza po nad nią wre sroga,
Lecz kędyż jest bramin i kędy mąż, który
Przebłaga straszliwy gniew Boga?

Wacław Szymanowski.

SIELANKA ŻYCIA.

Błogosławiona ta młodość! Mozolnie wdzieramy się na górę życia, ale wszystkie mozoły i cierpienia tej drogi opłaca nam rozkosz uczucia, że wznosimy się coraz wyżej i wyżej i z każdym nowym celem, trudem, rozczarowaniem, nowe zyskujemy siły. Im bliżej wierzchołka, tem rozkoszniejsze krajobrazy—wieczna pogoda nad obszarami świata. Mgła oddalenia dodaje uroku; dalekie odgłosy walk i cierpień Ludzkości wpadają w duszę młodą jako echa Jej tryumfów. W błękitnych przestworzach złote smugi światła; w piersiach miłości więcej, niż jej na świat wylać można; w całej istocie uczucie rosnącego olbrzyma. Błogosławiona młodość, błogosławione południe życia!

Na tym czarownym wierzchołku duch młody stoi, jakby w ognisku wszechbytu, czuje bijące serce świata, tchnieniem jego Wielkiego Ducha oddycha. Bóg sam daje mu z Ludzkością—ślub czynu. Nieziemska siła, nieziemska czystość i spokój — wypełniają wszystkie duszy przepaści. Człowiek jest świątynią, wzniesioną dla rozumu i miłości. Ideały jego, marzenia i zamiary stają przed nim widomie i w otoczeniu ich czuje się biedny nędzarz, jakby w gronie aniołów. Świat wydaje mu się jednem olbrzymiem narzędziem wiekuistej harmonji bytu: dotkniesz go tylko, a wydobędziesz z niego melodję dobra, piękna i prawdy. I wyciągasz rękę...

Nad głową twoją chmury. Węże ogniste wiją się po niebie; grom huczy; skała drży pod stopami twemi. Ta burza—to naga prawda życia. A ta prawda spędza cię ze szczytów i gna i gna przed sobą, dopóki się na padół rzeczywistości ziemskiej nie stoczysz.

Wracasz, ale nie tą już drogą, którą szedłeś—bo zkąd raz wyjdziesz, tam już nie powrócisz; wracasz nie tym samym, jakim wchodziłeś—bo heraklitowy potok, płynący łożyskiem świata i ciebie też z sobą porwał i uniósł: stajesz się ciągle, rodzisz się ciągle, *nie jesteś* nigdy skończonym *sobą*. Szedłeś w sile i wierze—wracasz w niemocy i zwątpieniu.

A burza cię gna ustawicznie i nie ma miłosierdzia nad tobą. Gdzie pierwej aniołowie byli, tam teraz dzikie, rozszalałe bestje, gdzie pierwej praca dla wspólnego dobra—tam teraz walka o byt. Na prawo i na lewo twej kamienistej drogi szumią ci puszcze pełne tygrysów i hijen. W szlacheckim klejnocie ludzkości dostrzegasz kły i pazury. Drżysz teraz przed tą, którą pierwej w miłosne tuliłeś ramiona. Drżysz, a ulewa nędz, wicher strasznej rzeczywistości gna cię nieustannie naprzód i spoczynku ci nie daje. Dalej i dalej—a coraz niżej i niżej na coraz głębszy padół. Im wyżej się wzniosłeś, tem głębiej teraz legniesz. Takie przeznaczenie twoje.

A nie myśl, żeby ci i teraz jeszcze dano wytchnienie, żebyś ideałami okupić mógł spokój. Świat weźmie cię na tortury i każdą chwilę zachwytu długiemi, szaremi dniami powszedniości odpokutujesz. Szczęśliwymi nazwiesz tych tylko, którzy się nigdy nie rwali i nie rozbijali i nie wzlatywali nad poziom a drepcząc po wąskich ścieżynach życia, chadzające w deptaku codziennych obowiązków, nie pomyśleli nawet o tem, że jest jaka ludzkość i że są jakieś wierzchołki, z których ogromy jej oglądać można. Na co ideały, kiedy są interesa, na co ludzkość, kiedy jest własny dom, własna rodzina, własna machina zarobkowa—praca dla siebie, miłość dla siebie, cierpienie dla siebie...

Ironja życia niczego ci nie oszczędzi—nawet widoków szczęścia ludzkiego. Ale ty im takiego szczęścia zazdrościć nie będziesz; ty im to szczęście robaków zostawisz. Będziesz wolał goryczę swego zwątpienia—niż wszystkie słodycze ich wiary. Gdy entuzjazm twój skona, w trumnie jego narodzi się smutek nad światem. Ty z tym smutkiem umrzesz—i tak zakończysz sielankę swego życia—*excelsior!*

Stanisław Krzemiński.

Z NAD MORZA.

Wszystko, co ma początek, podąża do końca,
Wyziębną i pogasną miljonowe słońca,
I wzroku pozbawiony ten wszechświat już ślepy
W przestrzeni martwe pocznie rozbijać czerepy.
O zmarłych nas planetach ucza mędrców księgi...
Ach! a czemuż ten księżyc, wschodzący przedemną,
W około żywej ziemi zatacza swe kręgi?
Jakąż nicią miłości związany tajemną,
Za kochanką słoneczną snuje się po zgonie?
Czemu się w bezgwiazdzistych przestworach nie kryje?
Jest-li w nim iskra życia? Jeśli jest, więc żyje...
I na powszechnej harfy pieśń odgrywa stronie —
Ale któż mi zaprzeczy, że ziemia nie czuła,
Nie na to ciało smutne do swych dróg przykuła,
By po wieków miljonach odmłodzieńczeć chore,
Gdy ze swym starym słońcem spotka słońce wtore,
I cała przestrzelona nowych ogni żary,
Nowe życie rozpocznie obok swej ofiary
I zgodną pieśń zanuci przyszłych tworów treści,
Pogodną, bez wulkanów, bez burz, bez boleści...

Lecz jeśli wszystko zgaśnie?... nie, tu myśl się chwieje,
Nieśmiertelna ta iskra co wciąż w piersiach dnieje,
Na połamane skrzydła wątpliwej logiki
Rzuca pełne energji oburzenia *veto...*
Życie — nicość — powstają raz po razie krzyki,
Kto wątpi, nieszczęśliwy, ty serca muzyki
Słuchaj i poranionej duszy chroń poeto. —
Jakież cię nie odbiegły czarodziejskie mary,
Wszystko, wszystko stracone, ciężar życia gniecie,
Zuużone kości bolą, podarł się płaszcz stary,
Lecz ty ostatkiem w nowym poruszasz się świecie,
W tym nieskończonych uczuć i wielkiej idei,
W tym wrodzonej miłości, wiary i nadziei,
Którą przynosi z sobą wszechistnień przyroda,
Wiążącej uniwersum jedną piękną siłą;
To martwe nie jest martwem, bryła nie jest bryłą,
Powiązała istnienie miłość wiecznie młoda
Prądami których rozum nie zmierzy, nie zważy,
Którym jeśli dasz skrzydła posłuszeństwa wieczne
Błysną w twej wyobraźni widma nadsłoneczne.
Z mieczami ognistemi stojące na straży. —

Nie, nie — ucisz się serce, siła czuwająca
Uśmiecha się początkom, wie, że nie ma końca,
A ważąc na swej dłoni wątpień naszych małość,
Po drogach niezbadanych prowadzi tę całość.

Umysł, który z planety wyjść nie może sfery,
Przyszłości abecadła nie znając litery,
Księgę swoją zamyka nicości zaworą,
Serce po za tą księgą wciąż przeczuwa wtorą,
I tej wiecznej pewności potrącone wiewem,
Śród wycia, klątew, śmiechu, oddziela się śpiewem,
W którym pogodne słońce nigdy nie zachodzi...

Ale dość, głosy lecą od nadbrzeżnej łodzi,
Wracajmy; w cichym domku, z dzieciątkiem na łonie
Wyglądać piękna żona—nie daj czekać żonie,
Prostaczka ta wieczorną owianą pogodą,
Rozpływa się w melodjach nad Italją młodą.
Cisza—łagodny wietrzyk w lekką dmucha nawę,
Głos od chaty zamilka, gwiazda wzeszła... *Ave.*

T. Lenartowicz.

MUCHA.

(Z SERJI „PAWIE PIÓRKA".)

W marcu, około południa, stołowy pokój odebrał nader miłą wizytkę...

Złożyło mu ją—przez okno naturalnie—słońce.

Blady jeszcze, ale już ciepły promień przedarł się przez szyby podwójnych okien i złotą przędzą rozsnuł się w powietrzu, zwęcony zapewne płomienistą koroną tulipana, który tylko co zakwitł w kryształowym flakonie.

Promień ten zajrzał w samo serce kwiatu, jakby pytając: „a ty tutaj co robisz?" następnie przebiegł szybko pokój i wśliznął się w szparę pomiędzy piecem a ścianą.

Po chwili, dał się tam słyszeć słabiuchny brzęk i pod warstwą kurzu jęło się coś poruszać...

Im dłużej i mocniej przygrzewał promień, tem brzęczenie stawało się głośniejszem, a ruchy szybszemi.

Nakoniec, z pyłu i pajęczyny wypełzła... mucha Mizerne to było i szpetne aż strach! Sama błonka i nerwy! Tułów popielaty od kurzu, oczy wybladłe i nieruchome, nogi i skrzydła oplątane pajęczyną...

Nie połakomiłby się na taką muchę najgłodniejszy nawet *krzyżak*.

Wypełzłszy z kurzu, stanęła ona oko w oko ze słońcem i jęła kręcić główką szybko a niecierpliwie, jakby ją uwierał zbyt krochmalny kołnierzyk.

Następnie, ruchem starego artretyka podniosła tylne nożyny i, omuskując niemi skrzydełka, otrząsała się długo, jak pudel po kąpieli.

Gdy już skrzydełka były czyste, zabrała się do główki...

Po kilkudziesięciu spazmatycznych poruszeniach przedniemi nóżkami, i po nieustannem zwilżaniu ich wysuwającem się i wsuwającem żądełkiem, główka ta nabrała metalicznego połysku, a ciemnokrwiste oczy jęły patrzeć ciekawie i z samowiedzą.

Wówczas też nastąpiła próba skrzydeł.

Była ona niefortunną.

Biedne muszysko kilkakrotnie, zamiast wzbić się w górę, utykało łebkiem w popiele, a raz nawet przewróciło się do góry brzuszkiem i długa chwila upłynęła, zaczem powstało na nogi...

Ale czegoż nie dokaże silna wola, w połączeniu z zachętą wiosennego promienia!

Po kilku minutach pasowania się, skrzydła wydały brzęk tryumfujący i mucha zwycięzko uniosła się w powietrze...

Na stole, zajmującym środek pokoju, stały niesprzątnięte jeszcze resztki śniadania.

Prawdziwie heliogobalowa uczta dla nędzarki, która całą zimę nic w... mackach nie miała!

Dna porcelanowych filiżanek nie obeschły jeszcze z czekolady, która aromatycznym zapachem drażniła powonienie...

Serweta pokryta była okruchami cukru i ciast...

Na jednym ze spodków stało kilka kropli śmietanki; na innym leżał kawałek nadgryzionego biszkoptu...

Sama prezydentka muszej respubliki lepszych rzeczy nie jada!

Nasza mucha, unosząc się ociężałym lotem tuż ponad serwetą, widziała wszystko doskonale: i czekoladę, i ciastka, i cukier, i śmietankę...

Jednak, nie przysiadła na żadnym spodku, nie spoczęła na żadnej filiżance!

Żeglowała ona bez wytchnienia ku... słońcu, które do niej gońca złotego wysłało.

Nagle, główka jej uderzyła o coś boleśnie...

Na drodze zjawiła się — zapora.

— Trzeba ją przebić!—pomyślała, poczytując za warstwę mgły to, co było—szybą.

I nie zważając na ból dotkliwy, poczęła uderzać w szkło łebkiem, nóżkami i skrzydełkami.

Tytanowa ta walka trwała całą godzinę.

Tymczasem słońce schowało się, a z niem razem zniknął i cel, do którego bohaterska mucha dążyła.

Zniechęcona i rozczarowana, przypomniała sobie heliogobalową biesiadę, którą widziała w przelocie.

— Gdym nie mogła ucieszyć ducha, to ciało przynajmniej nakarmię! — tak rzekła do siebie, i lot w stronę stołu skierowała.

Ale już służąca sprzątnęła nakrycie...

Zamiast miękkiej serwety, pokrytej przysmakami, rozpościerała się na stole zimna i twarda cerata...

Muchę zafrasowało to nie żartem.

Przesiedziała kilka chwil w smutnem zamyśleniu, a gdy skrzydełka jej wypoczęły nieco, postanowiła wyrzec się wszystkich marzeń ambitnych i wracać do ciepłej kryjówki za piecem.

Niestety! kryjówka nie była już ciepłą!

Dnia tego, ufając słońcu wiosennemu, nie napalono w piecu!

I nazajutrz ten sam wesoły promień, zajrzawszy do pokoju, znalazł muchę bez życia.

Leżała na wznak, z wyciągniętemi nóżkami i zesztywniałym martwo żądełkiem.

Wiktor Gomulicki.

RZYMIANKA.

Hufce rzymskie idą zbrojne
Na wojnę,
Matka laury wić zaczyna
Dla syna.

„Lub ozdobią—dziecię miłe—
Skroń twoją,
„Lub zaszczytnie twą mogiłę,
Przystroją“.

Z wojskiem rzymskiem śpieszy w pole
Pachole,
By rycerskiej zbierać sławy
Plon krwawy.

* * *

Poskrom, matko, te zapały,
Broń dziecię!
Nieśmiertelnej nie ma chwały
Na świecie.

Zadmą kiedyś akwilony,
Niewiasto,
Zburzy wichrów pęd szalony
Twe miasto.

Runą wasze trony, grody,
Świątynie...
Ale za nie syn twój młody
Wprzód zginie!

* * *

Czas rozwiewa ideały
Jak liście.
Nie ma celów, coby trwały
Wieczyście;

Jaśniejących cnót bez zmiany
Na wieki
Nie wymyślą ni rzymiany,
Ni greki.

Z dążeń szczytnych ślad zostanie
Jedynie...
Ale, matko, syn twój za nie
Wprzód zginie.

* * *

Próżno wznoszą gmach nadziei
Spółcześni:
Wszystkie swoje sny z kolei
Świat prześni.

Na zwaliskach nowe wzrosną
Budowy;
I rozkwitnie z nową wiosną
Laur nowy.

I znów błysną złudzeń chwile
Dla ludzi;
Lecz się syn twój już w mogile
Nie zbudzi.

* * *

Rozgłos dziejów tobie po co?
Blask—na co?
Czem niedolę ci sierocą
Zapłacą?

Co ci wielkość rzymska, grecka,
Co zjedna?
Broń się, matko, nie daj dziecka,
Broń, biedna!

Łez twych ceny i Ateny
I Sparta,
I znikoma — cała Roma
Nie warta!

* * *

. . . .

Wraca z wojny zwycięztw syta
Drużyna...
Drżącym głosem matka pyta
O syna:

Legł, spełniwszy chlubne dzieła
Daleko:
W nagiem polu, gdzie płynęła
Krew rzeką,

Jak kłos padał z jego ręki
Wróg srogi...
— Matka jękła: Cześć i dzięki
Wam bogi!

D. Henkiel.

Z sylwetek zakulisowych.

Stary aktor.

Są tacy, którzy utrzymują, iż być aktorem—to rzecz do pozazdroszczenia... Gdy zdobył sobie choćby nieco tylko pokaźniejsze miejsce w sferze teatralnej, zajmuje odrazu wybitne i widoczne miejsce wobec publiczności.

Oprócz moralnie zadawalniającego stanowiska: tłumacza wieszczów, interpretatora poetów, elektryzatora nerwów ludzkich etc. etc., znajduje się on i pod innemi względami w warunkach przyjemniejszych od innych. Uposażenie wybitniejszego aktora—względnie do jego intellektualnych zasobów i pracy przygotowawczej—bywa zazwyczaj dostatniem; praca jego, choćby mozolna, wije się śród ruchliwego towarzystwa, gotowego zawsze do śmiechu, żartów, wesołości i bawiącego się z sobą we wszystkich antraktach doskonale,—wreszcie poza sceną, w codziennem życiu, stosunek jego z publicznością oparty jest na pewnych wyjątkowych prawach ulubieńca, dla którego restaurator po zniżonej cenie odda lepszy obiad, krawiec staranniej zrobi ubranie, szewc chętniej skredytuje, a... *mirowy* sędzia, w razie sprawy z wierzycielem, na mniejsze koszta sądowe skazuje.

Wprawdzie czasem jaki żółciowy zoil zaleje mu sadła za skórę, ale za to wdzięczni reporterowie z jakąż gorliwością donoszą *urbi et orbi* o każdym jego katarze, chrypce, kichnięciu, wyjeździe na urlop, powrocie, podwyżce pensji i t. d. i t. d.

Ileż to osób zgodziłoby się ponieść niemałe ofiary, gdyby ich nazwisko choć w połowie tylu razy ujawniało się w szpaltach dzienników!...

Jeśli wszelako niezgorzej jest być aktorem na stanowisku, to już chyba nie ma nikogo, któryby pozazdrościł losu aktorowi... staremu. Doktor, adwokat, budowniczy, urzędnik, wszyscy pod starość, wsparci doświadczeniem, praktyką, znajomością rzeczy, rosną w swojej wartości, lub gdy od pracy zapragną się usunąć, znajdują po temu możność, mając zapewnioną czy to emeryturę, czy zebrany oszczędnością grosz na czarną godzinę. Z aktorem jednak rzecz się ma inaczej.

Starość aktora, to ruina najzupełniejsza. Do zawodu swojego potrzebuje on całej rzeźwości sił umysłu i ciała. Gdy przejdzie granicę lat zwanych „siłą wieku”, zstępuje na dół po szczeblach zawodu swojego daleko szybciej, aniżeli po nich wdzierał się do góry. Ani wie, kiedy staje się coraz gorszym, kiedy traci temperament i siłę w rolach poważnych, a werwę i komizm w rolach lżejszych. Widzi tylko, że młodsza reżyserja coraz to zastępuje go kimś młodszym w sztukach dawnych, a w nowych obdarza rolami komparsów.

Pensja zaczyna się zmniejszać, emerytury nie ma, oszczędność nie zgadzała się nigdy z duchem artystycznym i naraz człowiek ten, któremu pozostaje jeszcze kilka, może kilkanaście lat życia, niespodziewanie pozostaje bez gruntu.

Niespodziewanie, bo wieloletnia styczność ze sztuką i patosem wyrobiła w nim zarozumiałość i skłonność do złudzeń. Nie uznaje się gorszym i nie przypuszcza, iż pod kwiatami kryją się ciernie i suche badyle. Stawia się zawsze na równi z aktorem pierwszorzędnego talentu, obdarzonym organizacją wyjątkową, któremu niespożyta siła artystyczna dozwala, wbrew wszelkim prawom naturalnym, być młodzieńcem, choćby latami dobiegał całego wieku;—to nie on się starzeje, tylko ta nowa reżyserja (nowa, bo inna aniżeli za jego młodości) proteguje młodych, a jego prześladuje. *Prześladowanie*, to wyraz najczęściej słyszeć się dający za kulisami...

Ale cóż robić? On nie ma *protekcji* (i ten wyraz często tam powtarzają), więc musi ustąpić. Nie może degradować swoich zwierzchników, więc przyjmuje sam degradację i zniewolony opuszcza scenę, przyjmując inne jakieś stanowisko, np. rekwizytora, inspicjenta, kontrolera, lub coś podobnego. Posadę taką przyjmuje chętnie, bo mu ona zapewnia byt jaki taki i pozwala być blisko sceny, z którą się zżył, choć się jej wyrzeka.

Objąwszy to nowe stanowisko, zostaje... jeneralnym malkontentem. Autorowie piszą głupie sztuki, artyści źle grają, reżyser źle informuje, jedynie inspicjentura (przypuśćmy, że jest inspicjentem) idzie teraz naturalnie lepiej, skoro raczył ją objąć taki jak on artysta. A czy wiecie, co to jest inspicjentura? To owa siła ukryta, co podczas sztuki za kulisami, stosownie do potrzeby, sprawia: wiatry i burze, turkot powozu (najczęściej zapóźno), trzask z bicza, hałas, szczęk mieczów, miauczenie kota, wystrzał pistoletowy, szczekanie psa...

Ah! to szczekanie psa! Boże drogi! Ja, com jeszcze niedawno grał bohaterów z Ledóchowską, teraz mam psa udawać, i to za kulisami?... Cicho! bo słów nie słyszę... Hau!... hau!... hau!... Wy nie pamiętacie: „Księżna i paź”, jakie miałem brawa?!... Hau!... hau!... Zasypałem Halpertową, że tylko na mnie patrzyli... Hau!... hau!... Ach, przecież koniec!! Błazeństwo—co to za sztuki teraz, Boże, zmiłuj się!...

Oto jeden z monologów, z których śmieją się młodzi pracownicy sceny, nie frasując się smutnym przykładem...

Stary aktor odznacza się zazwyczaj wielką punktualnością, gdy idzie o sztukę i pewną kokieterją w stroju, zwłaszcza jeśli w młodości grywał kochanków. Na próbę czy na przedstawienie przybywa najpierwszy, a palto (choćby letnie w zimowej porze) musi dobrze pasować do figury i rękawiczki, zdobyte może kosztem niezjedzonego obiadu, muszą obciśle stroić rękę. Uważa też za obowiązek starannie twarz wygalać, a z fryzjerem teatralnym stara się być w najlepszym stosunku, iżby przez przyjaźń trefił mu czasem włosy i nie żałował fiksatoaru.

Zdarza się i to, że w rzeszy pracującej na scenie stary aktor ma swoich ulubieńców, którym cichaczem udzieli czasem jakiej rady, lub zrobi uwagę—najczęściej cenną i wartą posłuchania. Niekiedy da się porwać sztuce, choćby nowej, i odezwą się w nim wszystkie struny artystyczne: wtedy przybiegnie niewątpliwie do artysty, co w nim te wspomnienia wywołał i ściskając rękę, mówi: „Uważasz, panie... ten... dobrze... o! dobrze!...”

Rzadziej—chociaż się i to trafia—otacza chwilowo protekcją jakiego debiutanta, i przyznając mu zdolności Komorowskiego lub Żółkowskiego, pozwala się zaprosić na śniadanko lub buteleczkę węgrzyna. Wtedy to chętnie gwarzy o dawnych czasach, naturalnie lepszych i świetniejszych, no, i o swoich trofeach, przy których dzisiejsze powodzenia artystów są dziecinną igraszką.

Biedny! zadługo żył...

Aktor.

Do Psychy.

Gdy świat, w pogoni za marnem użyciem,
Pędzi przez złudzeń i zawodów fale
Aby się kroplą szczęścia przed rozbiciem
Otruć i skonać, jak Menada w szale,
Wtedy wśród przekleństw namiętnych i zgrzytu
Powolnych konań, na świata pogrzebie
Pożądam tylko ciszy i błękitu —
Wtedy się modlę do ciebie!

Gdy noc upadnie na ziemię zmęczoną
I oddech kwiatu jest głębszy a tkliwszy,
Gdy ból i troska w głuchym śnie utoną,
Umilknie wszelki puls przyrody żywszy,
Wtedy powstaje świat sennej piękności
I srebrnym haftem wiesza się po niebie,
Wtedy mi trzeba czaru i miłości —
I ja się modlę do ciebie!

Gdy się podniosę nad lichą ciasnotę
Ludzkich zabiegów, omdleń i goryczy,
I wpłynę w marzeń lazurową grotę
Z promienną twarzą mojej Beatryczy,
Wtedy tęczowa ściele mi się droga
I duch mój w każdej zbudzonej potrzebie
Czuje się bliskim ideału — Boga —
I ja się modlę do ciebie.

Bronisław Zawadzki.

PRZED MADONNĄ SYKSTYŃSKĄ.

Komuż, bodaj najmniej interesującemu się dziełami sztuki, nie obiła się kiedy o uszy nazwa „Madonny Sykstyńskiej”? Jest-że kto jeszcze, coby nie widział bodaj najlichszej reprodukcji arcydzieła Rafaela? Któż w czasach wiary prostej, dziecięcej a szczerej nie podniósł kiedy oczu błagalnych ku tej niebiańskiej postaci? Jest-że wreszcie artysta, człowiek pojmujący i kochający sztukę, piękno, ideały, któryby z rozkoszą wzroku na niej nie zatrzymał i o oglądaniu oryginału nie marzył?

Dziwny to los zarazem tych nieśmiertelnych malowideł religijnej treści! Do Madonny Sykstyńskiej setki ludzi się modlą po wszystkich świata świątyniach i tę samą madonnę śpieszą ludzi tysiące... oglądać w galerji drezdeńskiej. Modlić się—oglądać... Dlaczegoż kopja ma być bóstwem a orginał—osobliwością tylko? A jednak, trzeba być istotnie wielkim prostaczkiem, by w takiej np. katedrze antwerpskiej „modlić się” do owego wspaniałego Chrystusa,ześrodkowującego całą dramatyczną akcję arcydzieła Rubensa. Mimowoli przed takiem płótnem wpierw budzi się ciekawość, podziw, zachwyt niż wszelkie inne uczucie. Ze wszech miar przeto słusznie postąpiono przenosząc Madonnę Rafaela z klasztoru w Piacenzy do—galerji. Wierni nic na tem nie stracili, zwłaszcza, iż oryginał zastąpiono dobrą kopją, a dzieło najwyższego artyzmu znalazło się na właściwem miejscu—w świątyni sztuki.

A do tej drezdeńskiej świątyni sztuki śpieszyłem jakby mię kto na skrzydłach unosił. Corregio i Veronese, Ruysdael i Berghem, Holbein i Kranach, nawet ulubiony mój Andrea del Sarto nie istnieli dla mnie w tej chwili. Zobaczę nareszcie Madonnę Sykstyńską!—tę myśl jedną tylko miałem w głowie. Reprodukcje, którem widział dotychczas, były, zdaniem znawców, niezadawalniające; studja i roztrząsania estetyczne, które o obrazie czytałem, mogły jedynie zwrócić moją baczniejszą uwagę na ten lub ów szczegół; wreszcie ci, którzy Sykstyńską widzieli, zaspakajali moją ciekawość gołosłownemi jedynie wykrzyknikami: „Świetne! przepyszne! Nic równego nie ma pod słońcem!” Było więc szerokie pole dla ciekawości, niecierpliwego oczekiwania i tego charakterystycznego niepokoju, poprzedzającego każdą bardziej znaczącą, a oddawna wyglądaną chwilę.

Madonna di san Sisto ma swą oddzielną salę na lewem skrzydle pierwszego piętra galerji. Takież wyróżnienie przypadło w udziale drugiej, niemniej drogocennej perle drezdeńskiego zbioru, Madonnie Hansa Holbeina, zajmującej prawie niepodzielnie przeciwległą, krańcową również salę tegoż piętra. Zarówno do jednej jak do drugiej wiedzie droga mimo nieskończonych szeregów pierwszorzędnych płócien, na które atoli—wyznaję otwarcie—anim zwrócił uwagi w pierwszej mojej pielgrzymce do Rafaela. Miałem cel wytknięty przed sobą. Zdążałem doń prosto.

Już tylko przestrzeń jednej sali, kroków kilkanaście, oddziela mię od sanktuarjum. Przystaję na chwilę. W głębi okno—drzwi na lewo wiodą do największego—rozmiarami—obrazu galerji, do Tintoretta „Apoteozy Marji Panny”, do kilku mniejszych płócien Pawła Veronese i Palmy, drzwi na prawo—do Madonny. Dziwny zaiste ów przedsionek! Wzrok mój pada na kopję „Ledy” Michała Anioła, a niemal nawprost wysokich podwoi kaplicy rafaelowskiego arcydzieła mimowoli wzrok więzi i przykuwa do siebie przepyszna, pełna świeżości i siły kolorytu, niewieściego powabu i niemal zalotnego wdzięku, dobrze znana—Battoni'ego „Magdalena pokutująca”... W tak bliskiem sąsiedztwie z „boską dziewicą” obraz ten stanowczo nie na miejscu. Kontrast zamiast spotęgować wrażenie osłabia go tem już nawet, że rozprasza ów podniosły nastrój ducha z jakim do Rafaela spieszymy. Nic już wtedy nie poradzą ani uroczysta cisza przyległej sali, ani rodzaj ołtarza, na którym tam króluje niepodzielnie Madonna, ani natchnienie mistrza z Urbino. Wciąż mimo chęci błąkać się nam będzie przed oczami przed chwilą spotkana po drodze kobieta jasnowłosa, piękna, z piersią śmiało obnażoną, spoczywająca w głębi groty w pozie wyszukanie malowniczej, a którą artysta XVIII-go wieku niewiedzieć po co ochrzcił Magdaleną...

Być może, iż nie wielu zwróciło na ten szczegół uwagę. Zazdroszczę im. A jeśli nadto oglądnąwszy wpierw Madonnę Holbeina, ani razu w obec Sykstyńskiej nie przypomnieli sobie jej gorącego, świetnego kolorytu, to mogą śmiało uważać siebie za uprzywilejowanych. Mojem zdaniem należałoby do Madonny Sykstyńskiej prowadzić ludzi z przepaską na oczach i zdejmować im ją nie pierwej, aż staną przed obrazem.

Ale oto i ja stanąłem przed nim.

Obszerny gabinet ociągnięty cały ciemno-czereśniową materją i takaż zasłona, światło padające z dużego okna misternie skierowująca na płótno. Obraz ustawiony na rodzaju ołtarza, pięknie z drzewa rzeźbionego, zajmuje całą niemal prawą od wejścia ścianę komnaty i wysunięty jest nieco na środek. U dołu obrazu jaśnieje złoty napis: cytata z życiorysu Rafaela przez Vassari'ego. Na wprost obrazu, u przeciwległej ściany spostrzegam popiersie nieśmiertelnego mistrza, z białego marmuru. Dokoła ścian niskie, wygodne, takąż co i cały gabinet materją powleczone siedzenia. Kilka osób, przeważnie z czerwonemi Bädeckerami w ręku, z niezwykłem skupieniem, półgłosem zamieniając spostrzeżenia, przygląda się obrazowi. Światło pada wyłącznie na obraz—reszta sali tonie w półzmroku. Cisza uroczysta dokoła, tylko od czasu do czasu jaki urywek głośniejszej rozmowy i odgłos kroków zaleci z sąsiedniej sali. W progu wysokich podwoi pojawia się raz po raz nowy przybysz — wchodzi szybko, spojrzał w lewo, spojrzał w prawo — i stanął jak wryty o kroków kilka przed obrazem. Zwłaszcza na nieprzygotowanych wrażenie silne wywiera ta uroczysta scenerja sanktuarjam, a wreszcie, czyżby żadnej przy tem nie grała roli sama myśl, że się ma oto tu, przed sobą.. Madonnę Sykstyńską!

Bo obraz sam — niech mi entuzjaści wybaczą — nie wywiera wcale tak wielkiego, jakby się zdawać mogło, wrażenia. Koloryt jego łagodny, miękki, nikły, nadający mu na pierwszy rzut oka pozór spłowiałego gobelinu, działa nawet ujemnie na przeciętnego widza. To też niejeden odejdzie od obrazu rozczarowany, nie zadawszy sobie fatygi rozpatrzenia się w szczegółach. Powtóre, obraz jest znany—zanadto znany. Nie zarzut to, ale tylko usprawiedliwienie tych, którzy nie poświęcają dosyć czasu na wniknięcie w piękności stanowiące wyższość oryginału nad zwykłą kopią. A że tych szczegółów przepysznych jest wiele i że artysta ma czem rozkoszować się bez końca, to wątpliwości chyba nie ulega. Lecz nie rzecz moja powtarzać to, o czem już tomy dawno napisano. Nie studjum piszę estetyczne, lecz kreślę jeno prostą notatkę zwykłego, przeciętnie wykształconego turysty...

Są obrazy, wielkie dzieła sztuki malarskiej i natchnienia, działające odrazu na widza jakąś szaloną, nadziemską potęgą. Ze znanych mi, wspomnę tylko „Straż nocną” Rembrandta w Amsterdamie, Kaulbachowskie freski w Berlinie, ów szereg dwudziestu obrazów Rubensa w Luwrze, „Chrystusa przed Piłatem” Munkacsego, „Pieta” Andrea del Sarto w wiedeńskim Belwederze, że pominę „Skargę” naszego Matejki, lub niezapomniany dla mnie obraz Defreggera „Przybycie do sali tańca”, przed paru laty nagrodzony złotym medalem na międzynarodowej wystawie wiedeńskiej... Defreggera rodzajowy obraz i—Madonna Sykstyńska. Co za odskok—co za zestawienie! A jednak i jeden i drugi, każdy w swoim zakresie, są przecie objawami jednej i tej samej potęgi: nieśmiertelnej sztuki, natchnienia. Zkąd zatem ta nierównomierność wrażenia wywieranego przez nie? Dlaczego dziś wnuk współczesnych Rafaela obojętnym wzrokiem spogląda na płótno, przed którem na twarz padali jego praojcowie, z pewnością nie więksi entuzjaści artyzmu, a z bijącem sercem i twarzą płonącą zachwytem i artystyczną rozkoszą lubuje się zwykłą, z motywów codziennych zaczerpniętą sceną?

Czyżby Madonna zestępująca z obłoków, miała z biegiem czasu stać się... osobliwością tylko? Mnie się zdaje, iż niema obawy. Sztuka najwznioślejszych dotykająca motywów, odtwarzająca ideały, sztuka wysoko ponad ziemią sztandar swój dzierżąca, nigdy na znaczeniu, na uroku nie straci. Odtworzenie oblicza idealnie, wyraźnie: idealnie pięknego, postaci bodaj całkiem nieziemskiej, pozostanie zawsze szczytem natchnienia artysty. Ale... czy właśnie Madonna Sykstyńska, kreacja tak nawskroś abstrakcyjna, posiada oprócz swej idealności jeszcze coś, coby pociągało ku niej nieprzepartą siłą nie-artystę szukającego w obrazie mistrzowskiej przedewszystkiem gry świateł i kolorów, lub nie-estetyka, badającego arcydzieła, nie zaś wprost tylko zachwycającego się niemi?

Szeroko o tem piszą rzeczoznawcy, a laicy chętnie za nimi powtarzają, iż Madonna Sykstyńska jest *par excellence*—boską. Boskość ta atoli ujawnia się, mojem skromnem zdaniem, w dwóch jedynie szczegółach kreacji mistrza: w majestatycznem zestępywaniu z obłoków, jakoby z wyżyn nieba na ziemię i w oczach, w przepięknych, pełnych zadumy oczach. Ale boskość to — jeśli mi wolno tak się wyrazić — bierna. W pięknej twarzy Madonny nie odbija się żadne bodaj „przeanielone” uczucie, ruch wspaniałej postaci nie zdąża ku żadnemu widocznemu dla nas celowi, ku jakiejś, bodaj najbardziej szczytnej i boskiej akcji. Słowem, Madonna ta niczem serc naszych nie zdobywa—w przeciwieństwie do owych Madonn „miłosierdzia”, „bolesnych” i innych.—Płacząca nad zwłokami Chrystusa najżywszą litość naszą budzi, ciesząca strapionych do wdzięczności serca nasze zniewala, wniebowzięta (jak np. u Murilla) podnosi naszego ducha—tu... *objawia* się nam tylko. Boską jest chyba dlatego, że tak bardzo oderwana od ziemi, tak nic z nią wspólnego nie mająca. Ale powtarzam raz jeszcze: boskość taka nie porwie, nie zniewoli, nie wywrze zwłaszcza zamierzonego wrażenia. Syn ziemi, potrzebujący miłosierdzia i współczucia, przebaczenia i pociechy, chłodnym pozostaje w obec tego majestatu Królowej Nieba—biernego przy całej swej wspaniałości.

Ale co za skończoność artystycznego wykonania! Co za czystość linji! Co za harmonja idealna barw! Arcydzieło to największego artysty, którego wiara—to ekstatyczna kontemplacja zadawalniająca się samem oglądaniem bóstwa, którego natchnienie — to korne bicie przed niem pokłonów, bez względu na to, jak się to bóstwo objawi...

Takie mi się uwagi nasunęły podczas długiej, długiej chwili spędzonej przed nieśmiertelnem płótnem. Odszedłem rozczarowany w niejednym względzie, pełen podziwu—nie zachwytu, a jednak żegnając z żalem ów tak zda się dobrze i oddawna znany obraz, którego, kto wie, może mi już nigdy w życiu nie sądzono więcej oglądać.

I rzecz szczególna... z całego arcydzieła Rafaela najżywiej i najwyraźniej zostały mi tylko na zawsze w pamięci duże, pełne dziwnej, wielkiej jakiejś zadumy, przecudne oczy Madonny!

Czesław Jankowski.

Z księgi aforyzmów mężowskich.

Pod pantofelkiem żony będziesz siedział.
Ty sam najlepiej spraw jej pantofelki;
Pantofelkowi daj obcasik wielki,
Zrób między piętą a paluszkiem przedział;
Tędy się jeszcze mąż zręczny wywinie, —
Pod płaską masztą najzręczniejszy zginie.

Małżeństwa tak Bóg prowadzi,
Że lepszą jedna jest strona;
Gorszym Bałucki być radzi,
By lepszą była ci żona. —

Karol Brzozowski

Z teki prawnika.

Naczelnem zadaniem prawa w ogóle jest utrwalenie harmonji w społeczeństwie za pomocą obrony wolności indywidualnej, przynależnej w pewnych granicach zarówno poszczególnym jednostkom, jakoteż całym grupom społecznym i narodowym.

Tak opiewa... teorja.

*

Rozwój ludzkości polega na tem, ażeby przywileje jednostek stały się prawem wszystkich. Wyjątki mogą być tylko ujemnej natury.

*

Kto w rozumie siedlisko moralności upatruje, ten zapomina, iż nie rozumowanie jest źródłem naszych popędów, lecz przeciwnie te ostatnie są motorami naszych myśli i nadają im swe piętno i kierunek.

*

Nędzarz występny dostaje zawsze darmo przytułek i żywność za więzienną kratą; nędzarz uczciwy znajduje najczęściej tylko bezpłatne schronienie... we wspólnym dole na cmentarzu.

Czas, ażeby uczciwość doznawała przynajmniej tyle opieki, ile jej doznaje zbrodnia...

*

Wyrafinowana zbrodnia jest rodzoną siostrą wyuzdanej rozpusty.

*

Ludzie, którzy sarkają na prasę, iż ta, odsłaniając tajniki procesów sądowych, w ciemnych barwach maluje życie społeczne, podobnymi są do kuropatwy, która mniema, iż grożące jej niebezpieczeństwo zniknęło, skoro ona w śniegu niewiadomości głowę zanurzyła.

*

Matką zbrodni jest samo społeczeństwo, zbrodniarz jest tylko jej piastunem.

*

— Precz z litością dla zbrodniarzy: to wściekłe zwierzęta! Wytępiajcie ich!—wołają jedni.

— Karzcie przestępców surowo: to ludzie moralnie zepsuci! Łagodność kar rozzuchwala ich. Należy ich przerażać surowością—mówią drudzy.

— Szpitale budujcie zamiast więzień, leczcie zbrodniarzy: to obłąkani!—utrzymują trzeci.

— Litujcie się nad nimi: to nieszczęśliwi! Przeklęte dziedzictwo wieków napiętnowało ich stygmatem zbrodni!—twierdzą inni.

Lecz jakiekolwiekbądź jest źródło występnych skłonności i czynów, społeczeństwo dla obrony własnego bytu i rozwoju może i musi dążyć do ich przytłumienia.

Konieczność ta jest społecznym fundamentem kary.

*

Prawo, moralność i religja,—to trzy konary z wspólnym pniem pierwotnym, lecz bardzo oddalonemi od siebie wierzchołkami.

*

Śmiesznymi wydają się nam średniowieczni alchemicy w swoich poszukiwaniach kamienia filozoficznego, jako jeneralnego lekarstwa na wszystkie choroby.

Czyliż nie jest również bezzasadną współczesna dążność do walczenia ze zbrodnią podług jednej aprjorystycznej modły kar, stosowanych bez względu na różnorodne osobiste właściwości przestępców?...

*

Iluż to ludzi cieszy się zupełnym szacunkiem współobywateli, jedynie dzięki temu, że przyjazny dla nich zbieg okoliczności uchronił ich od roli oskarżonych w procesach... przy drzwiach zamkniętych?...

*

Kobiety stosunkowo rzadko stają obok mężczyzn przed kratkami sądów karnych, lecz za to nader często kryją się poza ich plecami.

*

W procesach karnych kobieta jest gadatliwą, gdy mówi o winie innych, natomiast o swojej roli w walce z kodeksem zachowuje oględne milczenie... Do winy daleko częściej przyznają się mężczyzni niż kobiety.

*

Istnienie apelacji w sądownictwie karnem z tego względu jest wadliwem, iż oddziaływa ujemnie na baczność sędziów w wyrokowaniu oraz dopuszcza możliwość wydania potępiającego wyroku mniejszością głosów. Znam sprawę, w której uniewinniony jednomyślnie wyrokiem I-ej instancji, skazany został następnie dwoma głosami w II-ej. Tak więc w ogóle dwie czarne gałki przeciwko czterem białym przeważyły tu szalę potępienia.

*

Prawodawstwo nazbyt postępowe względnie do społeczeństwa, dla którego przeznaczonem zostało, jest niemal tak samo szkodliwem, jak nazbyt zacofane.

*

Bierne przyzwyczajenie zdolnem jest tak dalece przytłumić w ludziach świadomość ich pogwałconych praw, że z czasem do słusznej opozycji poczyna im braknąć i głosu, i chęci...

Fr. Nowodworski.

Lekarze zdrowych i medycyna bez lekarstw.

(Sen po wigilji.)

Zabrnąłem tak głęboko w patologji, że zaczynam miewać sny chorobliwe.

Dzisiaj np. śniło mi się, że jakiś majster szewcki ogłosił wielkie dzieło, złożone z pięciu części:

W pierwszej wykazywał, że medycyna zrobiła olbrzymie postępy w znajomości chorób;

W drugiej, że nie zrobiła żadnego postępu w leczeniu chorych;

W trzeciej, że chorób nikt nigdy nie leczył i leczyć nie może;

W czwartej, że organizm sam leczy swoje chore części przewagą zdrowych;

W piątej wreszcie, że trzeba mu do tego pomagać tem, co podtrzymuje zdrowie, a nie tem, co wraz z chorobą niszczy organizm.

Nie pamiętam już dokładnie tych wszystkich argumentów, jakie z owej książki wyczytałem we śnie, a któremi autor usiłował uzasadnić dziwaczne swoje twierdzenia, ale to mi utkwiło w pamięci, że chce on gwałtem, ażeby lekarze więcej zajmowali się zdrowymi, a jak najmniej chorymi.

Nie jestże to śmiesznem?

Wygląda to tak, jakby ktoś, zamiast trzeźwić pijanego, radził mu przedewszystkiem nie upijać się. Rychło wczas! Ale czegóż się można spodziewać po autorze, który, między innemi, wypowiada takie zdanie: że medycyna byłaby najszacowniejszą i najszlachetniejszą z nauk, gdyby tylko nie używała lekarstw i przestała leczyć choroby! Jak wam się to podoba? Nie używać lekarstw! Dlaczego? Bo lekarstwa rujnują żołądek i kieszeń, a na pożytek wychodzą tylko tym, co je sprzedają. Więc cóż robić? Podtrzymywać zdrowie ciepłem, światłem, elektrycznością, magnetyzmem, powietrzem, wodą, ruchem, imaginacją, wrażeniami, pracą, czystością, pokarmami, napojami i... znajomością samego siebie. Była tam cała litanja takich środków, za któreby aptekarz trzech groszy nie dał. Ale najlepszy był ostatni ustęp, w którym autor tak powiada:

Choroby możnaby usunąć całkiem z powierzchni ziemi, potrzebaby tylko w tym celu znieść nędzę, zmartwienia, brudy, apteki, ekscesa i głupotę.

Szczęściem, autor zmiarkował się i dodaje: ponieważ jednak jest to niemożliwem w całości, musimy poprzestać na rozumnem wychowaniu fizycznem, na umiarkowaniu użycia, na strzeżeniu czystości powietrza i pokarmów, na hartowaniu skóry i nerwów, na rozsądnem ćwiczeniu mięśni i mózgu i na wstrzymaniu się od używania trucizn. Pierwszym obowiązkiem lekarza jest nie krzewić chorób; drugim, nie przeszkadzać organizmowi w reakcji przeciw naruszeniu harmonji funkcyj; trzecim: brać pieniądze za pielęgnowanie zdrowia, do czego są niejakie pewniki naukowe, a nie brać pieniędzy za leczenie chorób, do czego nie ma żadnych pewników naukowych.

Ciekawy byłem, jak autor rozumie owo pielęgnowanie zdrowia.

Otóż rozumie on to tak: Każda gmina, część gminy, a między zamożniejszymi każda rodzina lub kilka rodzin razem powinny sobie wybrać zaufanego lekarza i płacić go stale, rocznie, za przychodzenie, dajmy na to raz na miesiąc i dawanie rad, jak się powinno obchodzić z niemowlętami, jak czuwać nad rozwojem dzieci, jak stosować rodzaj zajęcia do natury i sił organicznych, wreszcie co robić w początkach każdego zboczenia funkcyj, ażeby niedopuścić choroby, a gdy choroba już wybuchnie, co robić, ażeby pomódz naturze do zwalczenia złego.

Pierwszym warunkiem skuteczności takich rad jest znajomość anatomji, fizjologji, psychologji, patologji i terapji ogólnej — drugim znajomość *indywidualności danego organizmu.*

Nie ma dwu organizmów jednakowych — mówi autor. Pewien lekarz leczył raz dwoje bliźniąt, tak do siebie podobnych, że ich rodzona matka nie zawsze odróżniała. Zachorowali obaj współcześnie na jedną chorobę i w równym stopniu — dał obu to samo lekarstwo w tej samej dozie: skutek był wprost przeciwny. Zatem sens moralny: trzeba znać właściwości indywidualne człowieka zdrowego, zanim zachoruje. Nie ma na to reguły ogólnej. Nie ma nawet zasad hygieny, któreby mogły być stosowane pod każdą szerokością geograficzną, w każdym stanie i dla każdej jednostki. Teorja mówi ci np., że wycieńczonego trzeba karmić ekstraktami. Nieprawda! U wielu wycieńczonych trzeba najprzód wzmocnić nerwy i wydzielanie soków, od których zależy trawienie i przyswajanie. Czem wzmocnić? Przykładaniem zdrowej ręki, słabemi prądami, łagodnem ciepłem, ożywiającemi wrażeniami, spokojną gimnastyką etc. — a nie miksturami, do których strawienia potrzeba większego wysiłku, niż do strawienia grochu z kapustą. A jakich specjalnie używać środków i jakie zalecać pokarmy, lub jaką dietę — na to nie ma żadnej reguły ogólnej.

Powiesz choremu, żeby pił mleko, tymczasem on mleka nie znosi; powiesz mu żeby jadł mięso, kiedy on po mięsie dostaje krwotoków i jeszcze bardziej słabnie; a tymczasem z przyjemnością je ziemniaki i wzmacnia się niemi. Z powodu bezsenności zakażesz mu pić kawę, tymczasem on bez wypicia szklanki kawy spać nie może. Każesz mu jeść owoce, tymczasem on ma wstręt do owoców i choruje po nich. Jak zje łyżkę poziomek, dostaje wyrzutów na całem ciele. Dajesz mu wszystko co tylko tuczy, a chory chudnie; dajesz mu wszystko bez tłuszczu, a twój pacjent tyje bez miary, i dochodzisz do przekonania, że pozbywa się nadmiernej tuszy dopiero przy kuracji mlecznej! Jeśli nie może spać, dajesz mu opjum, tymczasem opjum sprowadza mu gorszą gorączkę, a natomiast śpi doskonale, jeśli mu zalecisz polowanie, na którem drugi jego towarzysz przeziębi się i dostanie gorączki.

Cóż więc robić w takim składzie apostolskim? Jest tylko jeden sposób: zanim się zacznie radzić, poznać właściwości organizmu. A do tego auskultacja i perkusja nie wystarczają. Do tego trzeba badać dokładnie pacjenta przed chorobą, znać nietylko dziury w płucach lub kołki w kiszkach, ale i charakter systemu nerwowego, i nabyte przyzwyczajenia; wierzyć więcej w instynt natury i w idjosynkrazje indywidualne, niż w abstrakcyjne rozumowania lub pojedyńcze, uogólniane obserwacje i nigdy nie zapisywać środków, których działanie jest nieznane, w chorobach, których przyczyna jest nieznaną chorym, których natury nie znamy.

Dzisiejsza medycyna najusilniej gromadzi fakta zgodnego działania lekarstw, pomijając fakta działania niezgodnego. A tych jest większość. Naprawdę jednakowo działają tylko dozy silne—ponieważ zawsze szkodzą.

Tymczasem niemądry chory opycha się niemi, biorąc receptę od trzech naraz lekarzy, i w ten sposób zapewnia sobie na przyszłość regularny katar żołądka, podczas gdy jego córka, przeciążona nauką na pensji i brzdąkaniem na fortepjanie w domu dostaje palpitacji, bladaczki i innych różnokolorowych przypadłości z procesjami w żołądku. Doszło do tego, że dziś łatwiej o „lekarstwo” na wielką chorobę, niż o zdrową pannę na wydaniu.

Gdzie zaś jest miara stopnia w użyciu tych środków, żadna książka nie wskaże; miarę dać może tylko obserwacja indywidualna. Niejeden chory osłabiony zje talerz rosołu i zjadłby drugi. Inny chory osłabiony, poczuwszy *zapach* rosołu, dostaje wymiotów. Organizm anemiczny potrzebuje żelaza, dają mu więc żelazo w pigułkach; tymczasem on nie przyswaja żelaza z pigułek, gdzie go jest wiele, a przyswaja z wina, gdzie go jest bardzo mało. Dają mu gwałtem żelazo, tymczasem jest on wrażliwym na miedź i przyłożenie blaszki miedzianej mogłoby w nim obudzić zdolność do absorbowania większej ilości żelaza ze zwykłych pokarmów. Rozcierają mu ciało, celem zabezpieczenia od anestezji i kurczów, tymczasem on należy do tej kategorji wrażliwych na hipnotyzm, u których pocieranie wywołuje anestezję i kurcze. Trują go morfiną lub chloralem, nie mogąc wywołać snu spokojnego, tymczasem on należy do tych, u których pierwszy lepszy magnetyzer wywołuje sen najspokojniejszy w świecie machaniem ręką itd., itd.

Cóż na to wszystko poradzić?

Jest tylko jeden sposób: uwzględniać więcej niż dotychczas indywidualizm ludzi zdrowych, badać sumiennie wszelkiemi możliwemi sposobami i nie udawać, że się ma środki na wszelkie choroby, skoro się nie ma żadnego lekarstwa na katar, kaszel, ból głowy. Wówczas się spostrzeże, że i tak zwane specyfiki pomagają tylko pewnym grupom ludzi, pomagają tylko przez wywołanie zdrowej reakcji samego organizmu, a najczęściej tylko tym, u których także pomagają zamawiania i pigułki z chleba...

To ostatnie zdanie tak mnie zirytowało, żem się nagle obudził.

Spostrzegłszy, że to był tylko sen, uspakajam się i na drugi bok zasypiam.

Wtem, zamiast jednej książki, spostrzegam przed sobą całe kolumny dzienników: małe, duże, ciężkie i lekkie grupami i pojedyńczo rozsypujące się po świecie jak olbrzymie stado spłoszonych kuropatw. Słyszę tylko szelest papierowych skrzydeł i tuman kurzu zasypuje mi oczy.

Przecieram je i spostrzegam, że wszystkie te dzienniki zawierały jeden i ten sam artykuł.

Byłto proszek „wszechświatowego towarzystwa aptekarskiego” przeciw teorjom owego majstra szewckiego, protest ogłoszony w imieniu prawdy i dobra społecznego.

Chwała Bogu!—pomyślałem sobie we śnie—przynajmniej raz tym bredniom koniec położą!

Juljan Ochorowicz.

Z KSIĄG NIE SYBILIŃSKICH

ALBO PRZEGLĄD NIE POLITYCZNY.

— Wolnoż zapytać czem książę zajęty?

— Nie mam tajemnic: układam, jak zwykle, politykę przeciw moim Niemcom i przeciw całemu światu.

— Widzę, iż książę posługujesz się przytem jakąś księgą?...

— To moje *vade mecum*, moja biblja: „Podróże Guliwera".

— Tak? to i ja mogę służyć jaką powiastką, naprzykład jak myszy Popiela zjadły...

— Wołać Szweningera, gwałtu! moje nerwy!... a to kanalja!...

. . . .

— Wiadomo, że ekscelencja jesteś specjalistą w finansach, w Homerze i w rąbaniu drzewa, ale żeby w tak późnym wieku jeszcze się męczyć nad starożytnościami egipskiemi, nad literaturą indyjską, nad etnologją dzikich ludów w Afryce i w Niemczech... to dziwne...

— Kochany panie, nas to nie męczy, to interesa, mamy wprawę...

— *On* jednak bruździ?

— Wolne żarty; my zawsze i wszędzie zarabiamy; patrzmy końca, przy kim będą pieniądze.

— Ależ ekscelencjo, jeżeli się pokaże w końcu, że te Tonkiny i Chiny to albo zanadto kolosalna impreza, albo kolosalna blaga, jak głoszą niektórzy, to francuzi gotowi...

— Ja nie mam obawy, bo... *on* za mną stoi.

— Czy panu nie robi się już smutno? czy nie należało samej tylko Ameryki do Afryki wprowadzić?

— Ha, tak to bywa; nie pobłądziłem w pustyniach aż wróciwszy niepotrzebnie do Europy, sam już nie wiem którędy tutaj droga.

. . . .

— Wasza sułtańska mość możesz teraz przebierać między opiekunami, *embarras de richesses?*

— Niechże mnie Ałłach broni od tego! Odkąd przestałem dbać o opiekunów, oni się między sobą o mnie dobijają, a ja sobie drzemię spokojnie.

— A jak się znowu coś przygodzi?

— To już tylko we śnie.

. . . .

— Tron Ramzesów i Psametichów podobno się chwieje? Czy wasza wysokość lęka się?...

— Alboż to mój? Mówią, że całej Europy, a ja wiem, że niczyj.

— Jednak mogą strącić z niego?

— To wszystko jedno.

. . . .

— Panie hrabio, weźmy na otwartość: obaj niecierpimy centrałów, więc proszę o hasło?

— Kto płynie z prądem, utonie w wirze; kto się opiera prądowi, ulegnie wywróceniu; ale na łodzi, ze sterem, z pomocą wioseł, to z tej to z innej strony, można się posuwać naprzód i znowu się cofać i stawać w miejscu. Tym sposobem, jak szkiełka w kalejdoskopie dziecinnym, zadowoleni i niezadowoleni zmieniają ciągle miejsce i równoważą się. A przytem nikt nigdy nie wie naprzód, czy będzie zadowolony, czy nie, więc zawsze wszyscy są pełni nadziei.

— Jeżeli jednak wieża babilońska nie ma być nigdy dokończoną, to jest to fatalnie męcząca *gra* i bodaj niebezpieczna dla p. hrabiego, jako sternika, dla ludów, dla krajów, dla państwa; wyczerpią się siły...

— Kto nie chce, proszę nie *grać*.

. . . .

— Podziwiam zręczność, z jaką ekscelencja, panie hrabio, siedzisz równocześnie na siedmiu stołkach swoich i cudzych, a na każdym inaczej: na austrjackim i węgierskim, oraz na niemieckim, na włoskim, na rumuńskim, na serbskim; czy to wygodnie?

— Skromnemu mało potrzeba...

— A jutro? co będzie?

— A co jest dzisiaj? to wolałbym wiedzieć.

. . . .

— Mistrzu, gratuluję, że ci nie dali medalu...

— Chcieli, nie śmieli...

— Przecież im coś „zaimponowało".

. . . .

— Stój! panie bracie, zaliż nie wiesz, że niektórzy...?

— Przepraszam... ale jeszcze nie mam czasu, jadę dalej. Dopiero za powrotem będę *niektórym* w Warszawie patrzeć w oczy.

. . . .

— Zgadnijże tedy mr Stuart, co to wszystko znaczy?

— *Quite simple; wholsale interviews.*

Alfred Szczepański.

---

*) Poprostu hurtowne interwiewy.

SŁOWO OTUCHY

dla cierpiącego przyjaciela.

Co my wiemy, ciemni, ślepi?
Kto rozumem ludzkim zbada,
Co go złamie, co pokrzepi,
Zkąd mu rada, a zkąd zdrada?
Zkąd pociechy, a zkąd troski
Wyrok mu sprowadzi boski?...
Kto przepowie, kto zaręczy,
Że ta chmura, co nad głową,
Grozi burzą piorunową,
Nie zaświeci łukiem tęczy,
A z tych jasnych niebios szczytu
Nie upadnie grom na ziemię,
Co śród ciszy i błękitu
W ich głębokiej toni drzemie?
Że ten wicher rozszalały,
Co nas miota śród powodzi,
Między wiry, między skały,
Nie wyrzuci naszej łodzi
Na wybrzeże gdzieś nieznane,
Czarodziejskiej pełne krasy,
Kędy serce skołatane
Znajdzie sobie miłe wczasy?
A ten powiew cichy, błogi,
Co tak wdzięcznie wzdyma żagle,
Nie opuści nas gdzieś nagle
Na mieliznie, na pół drogi?
Kto zaręczy, kto uwierzy,
Że ci ludzie, ci druhowie,
Tacy wierni, tacy szczerzy
W każdym czynie, w każdem słowie,
Co na ręku nas dziś noszą,
Co nietylko radość, ale
Wszystkie troski, smutki, żale,
Dzielić z nami chcą z rozkoszą, —
Że ci ludzie, mili tacy,
Których dobro zawsze było
Celem naszych ofiar, pracy,
Których miłość naszą siłą,
Naszym skarbem, naszą chwałą
I otuchą jest dziś całą; —
Kto uwierzy w to, że oni,
Kiedyś, gdy zły los tak zdarzy,
Iż z odmętu krzywd, potwarzy,
Jak rozbitki z morskiej toni,
Ręce ku nim wyciągniemy,
To nietylko wyrok niemy
Rzucą na nas, gdy zgorszeni
I zachwiani nas opuszczą,
Lecz się nawet do kamieni
Porwą na nas z wrogów tłuszczą!
A natomiast i otucha,
I pociecha, i moc ducha,
I wspomoga, i obrona
Przyjdzie sama dziwną drogą,
Niespodziana, nie proszona,
Nie wysłana od nikogo.
Wiatr przyniesie nam ją zdala,
Ptak przelotny wyszczebiota,
Poszepnie strumienia fala,
Wymruga gwiazdeczka złota;
Da ją wierny pies, co skoczy
I przypadnie nam do piersi,
I z czułością spojrzy w oczy,
Szczerzej, niż nasi najszczersi;
Da myszka, co w naszej celi
Więziennej tak się ośmieli,
Że ufnie przyjdzie do dłoni
Z chlebem wyciągniętej do niej;
Da ją nawet głos grobowy,
Niemy, lecz pełen wymowy
Wielkiej, wzniosłej, uroczystej,
O pociesze wiekuistej...

*
* *

„Gdy więc na tym bożym świecie
„Wszystko tak się dziwnie plecie,"
Gdy nie wiemy, ciemni, ślepi,
Co nas złamie, co pokrzepi,
Zkąd nam rada, a zkąd zdrada,
To i cóż począć wypada,
Aby w złej, czy dobrej doli,
Mieć ten spokój w duszy swojej,
Z którym każdy ból przeboli,
Każda rana się zagoi,
A którego myśl zgryźliwa
O niestałości roskoszy
I wszystkiego, co nazywa
Świat swojem szczęściem—nie spłoszy?
Co począć? Oto jedynie
Wziąć swe sumienie za sędzię,
Co o każdym naszym czynie
Samo wyrokować będzie,
Czy on Bogu w czem nie przeczy;
A wszelkie losu odmiany
Przyjmując, jak spodziewany,
Zwykły obrót ludzkich rzeczy,
Wierzyć mocno i stać przy tem,
Że po-za doczesnym bytem
Jest byt inny, wiecznotrwały,
Pełen szczęścia, pełen chwały,
Gdzie każde ziarnko goryczy,
I każda potu kropelka,
I każda łza się policzy,
I wyrówna miara wszelka.

Adam Pług.

Z ŻYCIA I ZWYCZAJÓW ŻUBRA.

KARTKA Z TEKI MIŁOŚNIKA OJCZYSTEJ PRZYRODY.

Żubr, owo największe i najwspanialsze zwierzę w Europie, żyje, jak wiadomo, w większej ilości li tylko w puszczy białowiezkiej.

I tu jednak niestety! jak to się postaram dowieść cyframi, w jednym z rozdziałów obszerniejszej, do druku już przygotowanej pracy mej (drobnym fragmentem z której jest właśnie kartka niniejsza), śliczne to, a tak mało szerszemu ogółowi znane zwierzę wymierać stopniowo się zdaje. Gdy więc anglicy, jak o tem niedawno doniosły gazety, wysyłają badaczów na miejsce, my, nie posiadając podobnych towarzystw zoologicznych, któreby mogły wydelegować uczonego do puszczy dla zbadania i poznania bliżej życia żubrów, radzimy sobie jak możemy. Pochlebiam przeto sobie, iż kreśląc poniższych słów kilka z życia i zwyczajów, wymierającego już powoli, jak się rzekło, żubra białowiezkiego, czytelników noworocznego numeru *Kurjera* nietylko nie znudzę zbytecznie, lecz może nawet choć na chwilę ich uwagę zająć potrafię.

Na zaoszczędzonej przez wody potopu między Bohem i Dnieprem, poczynając od błot pińskich aż do morza Azowskiego rozciągającej się wyniosłej miejscowości, wraz z garstką innych zwierząt znalazły też schronienie i ratunek od grożącej im zagłady i żubry. Ztąd już następnie, jak chce mieć słynny geolog szkocki sir Roderyk Impey Murchison, gdy otaczające ich dokoła otchłanie wodne znikły, rozpierzchnąć się one niby miały na wsze strony i... aż do puszczy białowiezkiej dotarły, gdzie, dzięki zaopiekowaniu się niemi przez naukę i prawo, przechowały się też i po dzień dzisiejszy.

Żyją tu one zwykle dużemi stadami, z 25-u, 40-u a nieraz nawet i 60-ciu osobników płci obojga złożonemi. Na przodzie stada postępuje zawsze przewódca—olbrzymi, brodaty, stary żubr lub też niekiedy żubrzyca. Na widok człowieka całe stado zmyka zwykle ścieśnioną kolumną w gąszcz leśną i... długo jeszcze potem daje się słyszeć trzask i łomot wywracanych i łamanych przez uciekające na oślep zwierzęta gałęzi i krzaków.

O ile jednak tchórzliwemi są żubry zgromadzone w stado, o tyle odważnym jest stary, inwalid, od stada odseparowany i błądzący samotnie po lesie żubr, „odyńcem" przez ludność miejscową zwany. Taki, pojedynczo brodzący po puszczy żubr (i ztąd właśnie odyńca czyli jedynaka noszący miano), gdy zoczy człowieka, nietylko, iż się nie stara uniknąć z nim spotkania, lecz przeciwnie często sam na niego napada; ma zaś to miejsce wtedy zwłaszcza, gdy jest z jakiegokolwiekbądź powodu gniewnym lub wylęknionym.

Gdy żubr zaczyna potrząsać głową, kopać grunt nogami lub też przyklęka i—oblizując się co chwilę—ryje ziemię rogami, wówczas biada temu, kto się nieostrożnie doń zbliży. Zrywa się on wtedy gwałtownie na nogi, rzuca się naprzód i z zajadłością i okrucieństwem niezwykłem prześladuje domniemanego swego nieprzyjaciela.

Wygodniś też i figlarz niekiedy bywa z niego niemały. Wygrzewającego się naprzykład na słońcu, wśród drogi starego żubra nie są nieraz w stanie podjąć z miejsca i usunąć na bok żadne postrachy i nawoływania. Niejednokrotnie zaś zdarzało się, iż spotkawszy w puszczy ludzi wiozących siano, żubr nie przestawał prześladować ich dotąd, aż się domyślili czego mu się zachciało i podzielili się z nim kilku garściami, ulubionej przez żubrów rośliny, żubrówką *(holcus odoratus)* zwanej, mającej wygląd siana zwykłego, ale nadzwyczaj wonnej. Wszelkie zaś w danym razie usiłowania odpędzenia natrętnego prześladowcy nietylko iż nie skutkowały nigdy, lecz wywoływały przeciwny rezultat. Żubr czuje się wówczas w swoim majestacie obrażonym niejako, przybiera odporną pozycję, a wówczas komu życie miłe, winien, wyrzekając się wszystkiego, szukać ratunku w najśpieszniejszej ucieczce.

Konie obawiają się żubra ogromnie, czując zaś bliskie z nim spotkanie — albo się kładą brzuchem

na ziemię, lub też stają dęba. Zachowanie się podobne w tym razie koni daje poniekąd możność wytłómaczenia jednej z legend z historji starożytnej o „leśnym wole" (prawdopodobnie żubrze), który miał podobno wywołać wielki popłoch w całej konnicy macedońskiej i przejął ją, wobec najgroźniejszego nieprzyjaciela nieustraszoną, strachem panicznym. Cesarz Filip zabił niby owego „wołu leśnego"; skórkę zaś jego wraz z rogami zawiesić miał, jako dziękczynną ofiarę za odniesione zwycięstwo, w przedsionku świątyni Herkulesa.

Podczas upalnych dni letnich, gdy niezliczone masy napełniających puszczę Białowiezką owadów poczynają dawać się i gruboskórnym żubrom nawet porządnie we znaki, wówczas całe stada tych ostatnich albo udają się w jaknajgłuchszą gąszcz leśną, gdzie literalnie po szyję pakują się do bagien, lub też z widoczną rozkoszą pogrążają się w wodzie rzek i sadzawek, w które Białowieża tak obfituje, a które żubry z zadziwiającą nieraz zręcznością i bez najmniejszej obawy przepływają, lub też nakoniec zmykają do pobliskich borów sosnowych, gdzie kopiąc racicami piasek, osypują się nim wzajemnie i tarzają się, na podobieństwo koni, na grzbiecie, swawolnie rozrzucając nogami.

W zimie skupiają się zwykle żubry około tych miejsc, gdzie się znajdują umyślnie dla nich przez straż leśną poustawiane stogi stana. Gdy żubr jest zajęty jedzeniem, wówczas, idąc przeciw wiatrowi, można się doń zbliżyć na sto nieraz kroków i bliżej; gdy zaś idzie się z wiatrem, żubr, dzięki nadzwyczaj delikatnemu węchowi i doskonałemu słuchowi, czuje zbliżającego się doń człowieka, słyszy stąpanie jego o pięćset kroków nawet i zmyka coprędzej.

Epoka miłosna u żubrów zaczyna się zwykle, stosownie do stanu pogody, przy końcu sierpnia lub na początku września i trwa dwa tygodnie zaledwie tylko.

W tym czasie powierzchowność żubra zmienia się do niepoznania, staje się ona co prawda powabniejszą, piękniejszą, gładszą, lecz zarazem też przybiera wyraźniejsze cechy okrucieństwa jakiegoś i wyzywającej powagi. Samcy nabierają nadzwyczajnej śmiałości, włóczą się po zarosłych młodym lasem miejscowościach i dla przepędzenia czasu zapewne wyrywają młode drzewka rogami i noszą je na nich następnie, napełniając las nieopisanym szumem i łoskotem. Walki też żubrów pomiędzy sobą bywają w tym czasie na porządku dziennym; są one zwykle nadzwyczaj zajadłe i kończą się najczęściej śmiercią jednego z zapaśników.

I starym, zużytym samotnikom, „odyńcami," jakeśmy to rzekli, zwanym, nie obcą też jest zazdrość, chociaż źródło miłości wystygło już w nich oddawna. Przejawia się ona zaś w tem, iż starają się one zwykle odpędzić nienawistnych sobie, młodych samców od stada i samic i jakkolwiek niemile zapewne widziani, przez samice zwłaszcza, towarzyszą im wszędzie. Nie czyniliby zaś tego z pewnością, gdyby wiedzieli, iż tem przyśpieszają niedługi już chyba koniec rodu, do którego sami mają zaszczyt należeć. Przyśpiesza zaś go najbardziej to jeszcze, iż nadobne żubrzyce rozwijają się płciowo zaledwie w szóstym roku życia, a cielą się raz na trzy lata, przyprowadzając na świat jedno, bardzo rzadko dwoje cieląt, (co nie jest jeszcze dostatecznie stwierdzonem), które karmią następnie w przeciągu dwóch lat z rzędu.

Ta to właśnie mała płodność żubrzyc i wiele innych jeszcze przyczyn stają się głównie powodem, iż może już niezbyt odległym jest czas, w którym to tak olbrzymie, silne i wspaniałe zwierzę zginie niestety, z lądu Europy na zawsze!

Franciszek Gliński.

ROMEO i JULJA.

I.

Raz Julji pewnej dosyć długo
Nadzwyczaj wiernym byłem sługą.
„Tyś mój Romeo!"—byle rzekła,
Iść dla niej mogłem wprost do piekła.
A ona mi z kieszeni wtedy
Ostatni biorąc grosz, z mej biedy
Śmieje się jeszcze jak najsłodziej,
I za nos mię jak zechce wodzi,
I oszukuje, że aż miło —
Ale jej wszystko uchodziło —
Albowiem duszą mą i ciałem
Wyłącznie do niej należałem.

II.

A było miłą jej pamiątką,
W czapraczku chude po kimś psiątko —
Angielski charcik. Ten zuchwale
Koronki na niej darł i szale,
I pióra gryzł jej, i wachlarze,
I nieraz się zbłocony każe
Brać na bełana — i bywało
Że jej podrapał szyję białą,
Wsparłszy się na niej całą siłą;
Ale mu wszystko uchodziło —
Gdyż na obroży „ce cher chien"
Miał napis: *Julie m'appartient.*

Felicjan.

Gwiazdka.

Wśród niezliczonego mnóstwa gwiazd, zdobiących firmament niebieski, świeci tajemniczym blaskiem jedna szczególniej gwiazdeczka, nigdy żadną nie zamglona chmurką, a tak jasna, jak gdyby promienie wszystkich gwiazd skupiła w sobie.

Nie każde jednak oko dojrzy odrazu tę gwiazdkę i nie zawsze też ona podobno świeci. Astronomowie nic o niej nie wiedzą, chociaż siostrzyce jej na niebie, inne gwiazdy, przygaszają swoje promienie ilekroć ona wschodzi, jakby tym sposobem pragnęły jej okazać cześć swoją i lękały się w czemkolwiek uchybić jej majestatowi.

A jednak, znam tysiące ócz na ziemi, które z upragnieniem śledzą zjawienia się tej cudownej gwiazdki; znam mnóstwo maleńkich astronomów, wytężających ciekawy wzrok ku niebu przez wychuchany w zamrożonej szybie okrągły otworek; śledzących przez ten improwizowany teleskop obrót ciał niebieskich i nigdy nie mylących się w rozpoznaniu tej szczególnej gwiazdki.

Astronomami tymi — to dzieci, a tą cudowną gwiazdką—to gwiazdka „Bożego Narodzenia".

Mój Boże! ileż to lat upłynęło od chwili, gdym i ja również, małe podówczas pacholę, ścigał wzrokiem tę gwiazdeczkę i rozmyślał nad tem, co też mi ona przyniesie?

Bo gwiazdka ta dziwnie jest szczodrą i łaskawą na dzieci. Złotem oczkiem patrzy na ziemię i śledzi każde ich pragnienie, zagląda do głębi serc, wnika w tajniki duszy i czyta w niej jak w otwartej księdze. W oku gwiazdki przegląda się potem, niby w czystem zwierciedle, Bóg Ojciec i widzi w niej odbite wszystkie ich niewinne pragnienia i chęci. A jeśli one zgodne są z Jego świętą wolą, jeśli dzieci spełniają Jego przykazania, jeśli po Bożemu żyją na świecie, wtedy Bóg Ojciec rozkazuje aniołom swoim spełnić ich wszystkie życzenia i hojnie obdarowuje w dzień gwiazdki.

Tak mi wówczas opowiadała droga moja matka, gdym przytulony u jej łona wpatrywał się w roziskrzony błękit niebieski, w ową cudowną i pełną tajemnic noc narodzenia Bożego.

Dziś, po tylu latach, z przyprószonym na skroniach włosem, z czołem pooranem od trosk i walk życiowych, siedzę znowu przy oknie w ten sam wieczór grudniowy, wpatruję się w szeroki lazur i szukam na nim tej samej gwiazdki, której wtedy z takiem upragnieniem wyglądałem.

U kolan mych, bawi się mały, czteroletni chłopczyna.

— Tatusiu!—rzekł nagle, niekontent, że się do niego tak długo nie odzywam—tatusiu, czego ty szukasz na niebie, wszak już tobie nic gwiazdka nie przyniesie?

Straszny wyroku z ust dziecka! — pomyślałem, drgnąwszy mimowolnie; a potem zwracając się do chłopczyny, rzekłem łagodnie:

— Wiem o tem moje dziecko! ja też szukam tej gwiazdki, która mi świeciła na niebie wtedy, gdym był taki jak ty maleńki...

Malec popatrzył na mnie ciekawie; z oczu mu odgadywałem, że mu się to w główce pomieścić nie może, iż tatuś był kiedyś taki jak on maleńki, szczęśliwy także... ale zaspokojony z odpowiedzi, zwrócił się znowu do przerwanej zabawy.

A ja wpatrzony w niebo—dumałem.

Władysław Bełza.

W ALZACJI.

— A gdybyś pani spotkała go raz jeszcze?

Spojrzała na mnie swemi przenikliwemi oczami, które w tej chwili przysłaniało zamyślenie i mgła jakaś, nadająca spojrzeniu miękkość dziwną.

— Więc gdybyś go pani spotkała?—powtórzyłem niecierpliwie, szorstko prawie, bo ta mgła i ta miękkość jej źrenic sprawiała mi cierpienie.

Wzruszyła lekko ramionami, jakby rozmarzona.

To już doprowadzało mnie do rozpaczy. Bo ja kochałem tę kobietę, ja przyszedłem z myślą wypowiedzenia jej moich uczuć, a ona mówiła mi o wrażeniu, jakie na niej uczynił inny. Prawda, że to było kiedyś... dawno, że ten inny był daleko, że dzieliło go od niej siedm rzek i więcej gór, jak w bajkach ludowych, że dzieliło go siedm jeszcze...

Oczy jej spoczywały wprawdzie na mnie, ale widziałem, że zamiast mnie, goniła mary jakieś, że to mary przysłaniały jej świat cały, bo w około delikatnych rzęs rysowały się tęskne, smutne, niewyraźne uśmiechy, jakieś drgania ciche, jakby wiodła z niemi tajemniczą rozmowę.

— Więc czegóż nie powiesz mi pani od razu, że go kochasz — wyrzekłem z okrucieństwem dla siebie samego i dla niej.

Zdziwienie, przestrach nawet zarysowały się na jej twarzy.

— Ja? — zawołała — Ja? Wielki Boże! ależ ja nie mówiłam z nim nigdy! O nazwisku nawet dowiedziałam się później, przypadkiem... bo nazwisko to było sławnem.

Zamyśliła się znowu i zaczęła mówić zwolna, cicho, niby sama do siebie.

Było to w czasie wojny. Do wsi, gdzie się znajdowałam, przybył oddział. Słońce lipcowe paliło prostopadłemi promieniami. Ludzie byli pomęczeni, zgłodniali. Chora wówczas, skazana na przymusową bezczynność, spoglądałam z okna mego pokoju na ruch, jaki napełnił nagle ciche dziedzińce i ogrody.

Wówczas to przez muszlin firanki, przez prątki bluszczu, co się jej czepiały, ujrzałam go...

Padł raczej niż usiadł na darniową ławkę, odkrył głowę szybkim ruchem i oparł ją w tył o pień kasztanu z wyrazem nieskończonego znużenia, w którem było znać coś więcej, niż fizyczne wyczerpanie. Na blade czoło, na twarz ogorzałą wystąpiły drobniutkie krople potu, a oczy jasne, oczy koloru błyszczącej stali, przysłonione rzęsą złocistą, miały coś nieubłaganego w swym spokoju. Na głowę jego padały przez liście promienie południowego słońca, nie miał sił czy woli się od nich usunąć, rzucały one gorące odblaski na ciężkie pukle włosów, rysowały na czole sieć drobniutkich zmarszczek, a one wypowiadały, jak zgłoski otwartej książki, bóle, nadzieje, zawody, rozpacze. Niewidzialna, wpatrzyłam się w niego i zdawało mi się, że w człowieku tym nie ma nic, czegobym zeń wyczytać nie mogła. Był to dantejski podróżnik, obciążony na wieki pamięcią piekieł przebytych.

Nie wyglądał na żołnierza. Brak mu było grubszych mięśni, sposobnych do dźwigania broni, do forsownych marszów, Delikatnej budowy, szczupły, bujny, zdawał się cały złożony z nerwów tylko.

Nagle dały się słyszeć głosy jakieś. Podniósł głowę, słuchał przez chwilę z natężoną uwagą, poten skoczył jak pantera i usłyszałam głos jego donośny metaliczny, wyraźny, po nad głosami innemi...

— I cóż dalej? — spytałem zaledwie słyszalnym głosem.

— Dalej?... dalej nic! Nie widziałam go więcej. Słyszałam, że była bitwa, że walczył jak bohater, że ranny dostał się do niewoli.

Tak, nie było nic więcej, przecież kiedy mówiła o nim, źrenice jej tryskały ogniem, na ruchliwej twarzy odbijały się koleją wszystkie wrażenia i uczucia...

Była chwila ciszy... Czy miałem przemówić? Wszak od tego czasu minęło lat parę...

— A przecież—wyrzekła znowu, jakby odpowiadając na myśl moją — obraz jego rysuje się przedemną z najdrobniejszemi szczegółami, z całym nawet kolorytem i oświetleniem chwili.

Zapadła w zadumę, ja odszedłem zwolna. Z takim obrazem walka możebną nie jest.

Walerja Marrené.

PO WIELU LATACH NIEWIDZENIA.

Czy ty pamiętasz, jak młoda tęsknota
W świat cię daleki wołała przed siebie?
W mgle oddalenia brzasku łuna złota
Promiennym blaskiem jaśniała na niebie,
I czarodziejskie jakieś tajemnice
Zdały się pełnić tam gdzieś w dali, w dali...
Niebiańska piękność wychylała lice,
Świeżo wyszedłszy z wód wzruszonych fali.
Nad miljonami nierozwitych kwiatów
Skrzydlatych istot wzlatały miljony,
Krąg ziemi zdał się cudownie złączony
Z tysiącem innych, niewidzialnych światów,
I w harmonijnej wszystkich dźwięków nucie,
Grało jak szczęścia rozkoszne przeczucie.

Tyś szedł lękliwy nieco i marzący,
Twych ideałów orszak mając w koło.
Aniś pomyślał, że ci znój gorący
Może w południe wystąpić na czoło.—
Lecz ty leniwych nie pragnąłeś wczasów,
Ni cię wabiło bezchmurne wesele;
Gotowym byłeś do walk, do zapasów,
Byłeś za niemi widział wielkie cele.
Boś ty był dumnym i twą pierś poety
Serca gorące podnosiły bicie:

Górnych dróg szlakiem chciałeś iść do mety,
I męskich czynów pełnem zrobić życie.
Jak grek mieć chciałeś tak szerokie szranki,
W których się wszystko, co jest pięknem, mieści,
Od Endymiona obłocznej kochanki,
Do Prometeja na skale boleści...

Chciałeś... Ach! słońce wysoko na niebie
A czy tęsknota znów piersi nie wzdyma?
Czy nie przystajesz, by spojrzeć za siebie,
I w kraj młodości twej pobiedz oczyma?
Czybyś tam nie chciał choć przez sen powrócić
Do jednej chwili tam niegdyś przeżytej?
Tak się jak dawniej weselić i smucić,
Tak ziemi pragnąć, a patrzeć w błękity?...

Lecz przyjdzie jedna jeszcze uczuć zmiana,
Powoli w sercu rozgości się twojem:
Przyjdzie tęsknota nowa i nieznana
Za odpoczynku i ciszy spokojem.
Ta ci za inną, daleką krainą,
Każe obrócić spojrzenie — do góry!
Choćby tam chmury były, to przepłyną,
Bo to z oparów ziemskich takie chmury...
Zapatrzonego w przestwory bez końca
Zacznie ten bezmiar przyciągać do siebie;
Cicho po drogach swych krążące słońca
Jak szlak dla ducha wyznaczą na niebie,
I gdy ty, kędyś tam już odejść chcący,
Jeszcze za ziemią raz obrócisz oczy,
Uczujesz nagle boleść łzy gorącej,
Co z pod powieki na lica się stoczy.
Bo z twych ukochań, z twych mar ideału
Ileż ci wiernie wytrwało do końca?
Co nie przepadło, uszło gdzieś pomału,
I ty to zliczysz — o zachodzie słońca...

M. Ilnicka.

STOWARZYSZENIA RZEMIEŚLNICZE.

Jak przed kilkudziesięciu laty na pierwszym planie wszystkich prac społecznych stała kwestja włościańska, tak obecnie naprzód wysunęła się kwestja robotnicza.

Jeżeli trudne było załatwienie sprawy oddania ludności rolniczej na własność ziemi, na której pracowała, to nierównie trudniejsze jest rozwiązanie kwestji socjalnej, polegającej w ostatecznym swym wyniku na dostarczeniu robotnikowi na własność narzędzi pracy. Głębokie studja, jakie od wielu lat przedmiotowi temu poświęcają genjalne umysły, nie zdołały jeszcze rzucić światła, przy którem możnaby było dostrzedz jakiekolwiek realne kształty, które w przyszłości przybrać może stosunek pracy do kapitału. Dotychczas mamy same tylko hypotezy, przypuszczenia, lub fantastyczne, nie dającej się urzeczywistnić budowy falanstery, ikarje itp., a praktyczne środki, jak zakładanie kas dla chorych, inwalidów i emerytów robotniczych, ograniczenie pracy dzieci i kobiet itp. mają więcej charakter filantropijny, aniżeli organizacyjny, na niezłomnych prawach oparty.

Jednym ze środków, który zdawał się mieć doniośléjsze znaczenie, są stowarzyszenia. Potęgę, którą daje kapitał, starano się zastąpić przez połączenie w jedną całość rozproszonych sił wielu jednostek, posiadających samą tylko pracę. Po licznych jednak próbach okazało się, że przeceniono o wiele ważność wpływu stowarzyszeń na sprawę robotniczą. Pierwiastki, z których usiłowano złożyć nowe ciała wytwórcze, w których organa, dające inicjatywę, kierunek i pracę stanowili sami robotnicy, nie posiadały widać własności koniecznych do powstania i utrzymania całości, zdolnej do życia i rozwoju. Indywiduum niezawsze daje się zastąpić przez zbiór ludzi. W systemie stowarzyszeń ludowych najwyższy szczebel stanowią stowarzyszenia produkcyjne, tj. połączenie się pewnej grupy robotników dla prowadzenia wspólnemi siłami i na wspólny rachunek większego zakładu rzemieślniczego lub fabrycznego.

W stowarzyszeniach tych robotnik miał zarazem posiadać i charakter przedsiębiorcy, a tem samem odnosić wszystkie te korzyści, jakie dzisiaj przypadają w udziale tak robotnikom jak i przedsiębiorcom a z których, wedle powszechnego przekonania, nieproporcjonalnie znaczna część dostaje się przedsiębiorcy. Gdyby ta forma stowarzyszeń okazała się praktyczną i znalazła szersze zastosowanie, zrobiony byłby rzeczywiście ważny krok na drodze do rozwiązania kwestji robotniczej. Tymczasem, po trzydziestu latach najusilniejszej na tem polu w Niemczech propagandy, Schenk, następca Szultzego-Delitscha, w sprawozdaniu swojem za rok 1883-ci wykazać zdołał zaledwie ośm takich stowarzyszeń, działających z niebardzo świetnemi rezultatami.

Z tem wszystkiem nie można godzić się z Lassalem, który wyśmiewa całą działalność Szultzego-Delitscha i stowarzyszeniom jego odmawia wszelkiego znaczenia i wpływu. Nie podniosą one wprawdzie ludzkości z łoża boleści, na które ją powalił anormalny stosunek kapitału do pracy, ale jednak niejedną jej ranę zagoją. Są one bezsilne w przekształceniu robotnika fabrycznego w samodzielnego wytwórcę, ale mają moc utrzymania w pewnej mierze drobnego rzemieślnika na jego stanowisku niezależnem. Jest to faktem, codziennie stwierdzić się dającym, że wielki przemysł ma niesłychaną przewagę nad drobnym, że praca fabryczna z każdym dniem bardziej wypiera pracę rękodzielniczą. Przedewszystkiem przyczynia się do tego wyższość maszyny nad fizyczną siłą człowieka — a tej przewadze nic oprzeć się nie zdoła. Ale obok tego są jeszcze inne elementy, które czynią nierówną walkę rzemieślnika z wielkim przemysłowcem, a mianowicie łatwość kredytu, korzyść, jaką daje kupno w wielkiej ilości surowych materjałów, potrzebnych do reprodukcji, ułatwione środki zbytu itp. Te zaś korzyści wielkiego przemysłu mogą sobie drobni przemysłowcy w pewnym stopniu przyswoić za pomocą stowarzyszeń.

Rezultaty, osiągnięte na tem polu przez stowarzyszenia niemieckie, są tego wymownym dowodem. Wedle ostatniego sprawozdania, istniało w Niemczech w roku 1883-im samych stowarzyszeń pożyczkowych 1,910, z których 993 wypożyczyły swoim 466,575 uczestnikom 1,513,617,272 marki. Łatwo sobie wyobrazić, o ile taki ogrom kapitału przyczynia się do powiększenia siły wytwórczej drobnego przemysłu, głównie rękodzielniczego, i do utrzymania jego samodzielności.

Za przykładem Niemiec poszły inne kraje. W Rosji, wedle sprawozdania z roku 1882-go, znajdowało się 967 kas pożyczkowych, z których 729 udzieliło swoim 255,782 uczestnikom kredytu na sumę 100,949,174 rubli.

Nawet nieobfitująca w kapitały Galicja zdobyła się już w roku 1881-ym na 122 towarzystw pożyczkowych z 66,955 uczestnikami i sumą udzielonych kredytów 23,057,976 guldenów.

A u nas? W roku 1869-ym założono w Warszawie pierwszą kasę pożyczkową, od tego czasu, przez lat 15-cie przybyło 5 kas (w Grójcu, Kutnie, Wiskitkach, Radomiu i Lublinie), czyli jedna co trzy lata.

Jeżeli dalej postępować będziemy tak żółwim krokiem, niedaleko na tej drodze zajdziemy.

J. Kirszrot-Prawnicki.

PIOSENKA.

Żeby zerwać te okowy,
Duszy mej ukoić ból,
Przyszedł lekarz do mej głowy,
Przyszedł rozum — zimny król.

I wywodów i dowodów
Wyćwiczony szereg wiódł,
I baterje cyfer, lodów,
Wieniec kazań, modłów, cnót

Lecz na widok tej apteki
I lekarza w ciele mem,
Pierzchła dusza, i na wieki
Utonęła w oku twem.

Ach! rozumu w twoją główkę
Ty nie wpuszczaj, wierzaj mnie!
Bo wypłoszy na wędrówkę
Obie dusze — nie wiem gdzie!

Karol Brzozowski.

Ze spuścizny po Mickiewiczu.

W papierach pozostałych po Adamie Mickiewiczu, znalazła się skreślona w języku francuskim karta czy notatka, zawierająca porównanie pomiędzy dyplomacją francuską a angielską, w formie uwag, przez anglika kreślonych.

Jaki powód skłonił twórcę „Wallenroda” do skreślenia tego, nigdzie dotąd niedrukowanego ustępu, trudno już dziś dojść z jego treści...

Przesyłając nam tę kartę, syn poety, p. Władysław Mickiewicz, dodaje następne uwagi:

Zdaje mi się, że to Goethe zdefinjował francuzów w ten sposób: „naród bardzo dowcipny, ale wcale się nie znający na geografji”.

Ta nieznajomość geografji dochodziła czasami do rozmiarów monumentalnych.

Pan J. C. Bratiano, obecny prezes rady ministrów w Rumunji opowiadał, iż w r. 1848-ym był na audjencji u francuskiego ministra spraw zagranicznych, Juljusza Bastide. Pan minister przerwał mu mowę pytaniem:

— Jaka jest stolica pańskiej ojczyzny?

— Bukareszt! Ekscellencjo!

— Buchara... chcesz pan pewno powiedzieć? — poprawił go minister.— No, mów pan dalej!

Wzięty za dzikiego mieszkańca Buchary, Bratiano nie wiedział co odpowiedzieć.

W Konstantynopolu w r. 1855-ym Adam Mickiewicz, przechadzając się w towarzystwie jednego ze swoich przyjaciół, spotkał oddział baszybuzuków, którzy pod dowództwem kaprala francuskiego prowadzili bagaże. Kapral tłumaczył im w swoim języku, jak to powinni robić. Rozumie się, iż baszybuzuki, turcy z natury i z przekonania, nie rozumieli ani słowa i wykonywali rozkazy bardzo opacznie. Nareszcie zniecierpliwiony kapral wykrzyknął:

— Cóż to jest, że mnie nie słuchacie? Mówię przecież wyraźnie po francusku!...

Adam Mickiewicz i jego przyjaciel, usłyszawszy te słowa, wybuchnęli głośnym śmiechem, który zwrócił uwagę kaprala na jego własną naiwność. Poczciwe kapralisko zaczął się sam śmiać z siebie, ale wielcy mężowie stanu, choćby największe powiedzieli głupstwo, zostają zawsze jednakowo sztywni i poważni.

Adam Mickiewicz, który niejednokrotnie miał sposobność ścierać się z nimi, zwrócił raz w humorystycznym artykule uwagę na nieświadomość i zarozumiałość dyplomatów francuskich.

W Konstantynopolu Adam Mickiewicz rozmawiał długo z pewnym dyplomatą angielskim, a gdy rozmowa zeszła na dyplomację francuską, anglik rzekł z pogardliwą miną:

— O!.. z dyplomatą francuskim nigdy nie ma kłopotu. Mówiąc do niego, trzeba tylko zacząć od słów: „jesteś pan zbyt poważnym mężem stanu, aby nie wiedzieć, że...”—a on już wszystko zrozumie, wprzód jeszcze, nim się dowie, o co idzie właściwie.

Jakkolwiek ułamkiem tylko niewykończonym jest garstka myśli twórcy „Pana Tadeusza”, którą tu podajemy, nie zdaje mi się, aby była bez interesu dla ogółu. Wyobraźnia czytelnika zapełni braki tekstu. Jeżeli przed pierwszym lepszym okruchem wypalonej gliny starożytnej stajemy w zachwycie i w umyśle odtwarzamy sobie całą statuę, której cząstkę stanowił, jeżeli prosty kawałek szkła iryzowanego zdolny jest cofnąć nas aż do cywilizacji etruskiej, dlaczegóżby nie obrobiony wprawdzie szczątek myśli człowieka genjalnego nie zasługiwał choć na odrobinę miejsca w muzeum umysłu ludzkiego?

Autograf Adama Mickiewicza brzmi w przekładzie:

„Pomimo zupełnego zaufania, jakie mam w panu—mówił mi pewien mąż stanu—nie byłbym sobie pozwolił powziąć żadnego postanowienia, któreby mogło być niebezpieczne dla interesów królestw połączonych. Rzeczy które panu powiem, są prawdziwemi zwierzeniami; w każdej maszynie zresztą, jest tylko kilka sprężyn i jest też tylko kilka prawd mechanicznych, które tworzą ruch i życie.

„W Anglji pozwalają cudzoziemcom budować maszyny jakie kto chce, ale wzbraniają anglikom, majstrom w swym rzemiośle, zdradzać pewne sekretne zastosowania, czyli tak zwane przez niemców *kunstgriffy*. Te drobne sekreta nadają ruch maszynie. Trzeba pracować jako konstruktor, jako palacz i jako maszynista, aby umieć prowadzić maszynę parową. Robotnicy są polem, na którem wzrastają wynalazcy i inżenierowie.

„Kraj wasz przepełniony jest wynalazcami i inżenierami (mówię tu o dyplomacji), ale brak mu konstruktorów i palaczy. Jeżeli odegrałem jaką rolę polityczną, to jedynie dlatego, że długo i sumiennie pełniłem skromne obowiązki, o których mam zaszczyt mówić teraz panu.

„Człowiek, który wchodzi do wielkiego zakładu, nie przestudjowawszy pilnie jego szczegółów, widzi wszędzie tajemnice i sekreta, i każdemu z prowadzących osobne działy przypisuje myśli i kombinacje głębokie. Mówię to panu dla usprawiedliwienia dyplomacji angielskiej z tego zarzutu tajemniczości i głębokich kombinacyj, jaki jej robią zawsze... uczniowie w dyplomacji. Faktem jest prawie, że anglik jest zawsze bardzo szczery, i nie jego jest winą, jeżeli nikt uparcie nie chce ocenić jego szczereści. Również nie jego jest winą, jeżeli mu przypisują jakieś skryte zamysły. Także nie trzeba o to winić dyplomacji obcej. Jest to nieszczęście czasu. Dyplomata angielski nie znajduje już od czasu rewolucji francuskiej ludzi, z którymi mógłby mówić i postępować jak ze swymi równymi.

„A jednak, czegożby bardziej pragnęli członkowie naszej izby wyższej i najdystyngowańsi *gentlemeni* izby niższej w stosunkach z wysoko-położonemi osobami rewolucyjnej Francji, Polski, Włoch?!... Mówią oni do tych osób—mogę pana o tem zapewnić—jak szlachcic do szlachcica, i pierwsi oni dziwią się, znajdując w swoich kolegach z dyplomacji europejskiej tylko *common stock, vulgar*, to jest ludzi, którzy jakkolwiek przedstawiają się jako ministrowie spraw

zagranicznych, jako ambasadorowie, jako ajenci dyplomatyczni, konsulowie—przedewszystkiem okazują chęć obiadowania u stołu milordów, jako ich równi. Można nawet czasem myśleć, że sami mieliby ochotę wejść w służbę pana angielskiego. Widziałem dyplomatów francuskich, którzy zostawali prostymi urzędnikami—pracowałem z nimi!..

„Wierzy pan zapewne, że lord angielski, który ostatecznie przekonywa się, iż minister pełnomocny lub sekretarz ambasady dąży do zajęcia jakiejkolwiek pozycji w państwie lub w jakim wielkim domu, z rodzaju tych, jakiemi są domy panów angielskich, przedewszystkiem smuci się tem. Mogę pana zapewnić, że arystokracja angielska mocno się zasmuciła małością nowych reprezentantów Francji.

„Szlachta nasza chciała protegować „ludzi nowych” Francji. Nie robiłaby żadnych trudności w przyjęciu ich na swoje łono. Izba lordów zgadza się od czasu do czasu przyjąć za kolegów adwokatów i negocjantów. Byłaby też chętną uznać w tym charakterze adwokatów a nawet szkolników (*schoolmasters*), którzy teraz rządzą Francją. Próbowali tego nawet szlachetni milordowie, lecz trudności pochodzą ze strony francuzów.

„W Anglji, jeżeli jaki *gentlemen*, bankier, adwokat lub przemysłowiec zostanie mianowany baronetem lub milordem, stara się odznaczyć uczuciami narodowemi i jeśli zapomni czasem o swoich interesach osobistych, to stara się je pogodzić z interesami państwa brytańskiego. Znałem gentlemenów, którzy narazili wielkie fabryki igieł i piór stalowych dla dopomożenia przedsięwzięciom wojennym generała lorda Gough w Pendżabie. Doświadczenie polityczne, jakie posiadali, pozwoliło im zrozumieć, że Pendżab zdobyty przez lorda Gough, będzie potrzebował korespondować z Anglją i nauczy się pisać po angielsku, co koniecznie zwiększy pokup piór stalowych. Kupiec narażający się na straty dla dopomożenia przedsięwzięciu lorda Gough jest pewny, iż po odniesieniu zwycięstwa nad Pendżabem odnajdzie kapitał swój i wszystkie stracone procenta.

„Charakter handlowy anglików czyni ich panami Europy, która stała się też handlową, ale której dyplomaci nie mają ani śmiałości w przedsięwzięciach, ani energji wykonawczej kupców angielskich.

„Kupcami kontynentu, którzy najbardziej starają się naśladować kupców angielskich, są dyplomaci francuscy. Mylą się oni jednak co do głównego punktu: zdaje im się, że Anglja jest rządzona przez kupca. Wielkie bogactwa domów, rządzących Anglją, skłaniają francuzów do wierzenia, że domy te muszą być koniecznie domami bankierskiemi. Francuzi nie rozumieją innego sposobu zbogacenia się, jak za pomocą operacyj giełdowych. Sądzą o potędze metalicznej Anglji wedle swoich własnych idei. Mylą się bardzo. Anglja jest zawsze rządzona przez rodziny wojskowe. Duch zwycięzców z pod Delhi, Vittorii, St. Jean d'Acre i Waterloo rządzi Anglją. Jeśli ręka, która mieczem władała, dotyka ręki która mierzyła kwartą i łokciem, to jedynie pod warunkiem, że ta ręka handlowa zapomni swych zwyczajów... codziennego oszustwa i chwytając pióro prawodawcy, posługiwać się niem będzie tak, aby o jej handlowej przeszłości zapomnieć było można.

„Francuz przeciwnie, zyskawszy szlify jeneralskie na polu bitwy, a następnie mianowany ambasadorem przy rządzie, który chce uszanować jego zasługi wojskowe, wchodząc w stosunki z reprezentantami Anglji, czuje się obowiązanym grać rolę kupca, a nawet *marchantsclerk* subjekta handlowego. Mówi do księcia Wellingtona i do komondora Napier o nożach i szpadach. Książę i komondor pozwalają mu mówić, powziąwszy jednak w duchu postanowienie odesłania go do ich kantoru *headclerk*, aby był w rozmowie swobodniejszy.”

Nad Nilem.

Faraona pięknej córze
Sen na rzęsach nie usiada;
Bo nad Nilem ludu burze,
A wołają wszyscy: — Biada.

Więc kazała z wód zamieci
Syna nędzy nieść do siebie,
Aby uchem był stuleci
Wobec Pana na Horebie.

I zakwitnął mąż wybrany
Z trzcinianego wzięt posłania:
Brzmi przez wieki, oceany,
Dziesięcioro Przykazania...

Znów dziś ludzkość udręczona,
Trud i głód znów bladolicy:
Wstań, pieszczoto Faraona,
Ze złocistej wyjdź łożnicy!

Wincenty Korotyński.

GĘSTA MINA.

Człowiek, co pierwszy nagość przykrył ubraniem, ani marzył, iż kiedyś ono stanie się nietylko wyrazem potrzeby ale przedmiotem zbytku, a nawet wymogów artystycznych i dobrego smaku.

Połowa zwłaszcza rodzaju ludzkiego, płeć piękna, dla stroju wiele poświęca, widząc w nim spełnienie swoich estetycznych aspiracyj. Mężczyzni, dbający na pozór o wygodę jedynie, objawiają częste skłonności do zbytku w ubiorze, o który świat przywykł wyłącznie oskarżać kobiety.

Jakiś włoski statystyk wykazał, że większość przestępstw niewieścich ma źródło swoje w potrzebie stroju... *cherchez le jupon!* Dzienniki mód, wspaniałe magazyny i wystawy, przeznaczone wyłącznie dla dam, złożyły się na oskarżenia przeciwko nim, że są apostołkami stroju, że w nim pokładają warunek szczęścia życiowego. Odpowiedź na te sarkania oddawna podał Rousseau twierdząc, iż mężczyzna ubrał kobietę, rozwiesił na niej mnóstwo świecideł i potem w niej się rozkochał.

A ona? „Ona—powiada myśliciel z Genewy—rozsiadła się w przybytku i była kontenta. Za cóż macie do niej pretensję?... tem jest, czem ją zrobiliście!”

Jakiś domorosły humorysta, prawdopodobnie francuz, powołując się na powyższe uwagi w sto lat po ich napisaniu, pytał naiwnie: „Kto ubrał mężczyznę? Kto go posadził w powozie z wyciągniętemi nogami, z binoklem w oku i trabukosem w ustach? kto mu nałożył sobolową czapkę i elki, wobec pustek w kieszeni? kto utrefił bokobrody, wysmarował wąsy i włosy na głowie na połowę przedzielił?”

Pojęcie „gęstej miny” przypada właściwie w udziale brzydkiej połowie rodzaju ludzkiego. Panie o tę kategorję piękna w żaden sposób nie mogą się ubiegać, uwłaczałoby to naturze niewieściej. Kategorja, o której mowa, ma znaczenie historyczne. Czerpie ona źródło w poczuciu rycerskiem i w sile, przywiązanej do mężczyzny. Każdą wyższość wyobrażał sobie człowiek plastycznie: bożkowie mytologiczni, tak samo jak bohaterowie, nosili na sobie zawsze stygmat potęgi. Rycerzy średniowiecznych wyobrażano zwykle jako ludzi muskularnych i rozrosłych. Kiedy w XVIII-ym wieku pokolenie zmalało i zbroje przeszły do muzeów, a rożenki u boku zajęły miejsce oręża ciężkiego, pracowano jeszcze nad utrzymaniem przynajmniej marsowej postawy.

Kiedy szpada, ostatni symbol wojowniczych instynktów, z użycia wyszła, została „gęsta mina”, zabytek elegancji męskiej. Pomyślna konstytucja fizyczna, wezwawszy na pomoc krawca i fryzjera, zdobywa tę całość, która postaci ludzkiej nadaje ów zewnętrzny wygląd, o który nam chodzi. Gdy, idąc ulicą, typ tego rodzaju spotykam, oglądam się mimowoli pytając, kto to może być taki: „człowiek utytułowany, bankier, albo pierwszy tenor!” Niestety! często się mylę.

„Gęsta mina” ma związek z powodzeniem i u ludzi zdrowych stanowi pewny wykładnik dobrobytu, nie idzie przecież w parze z wartością wewnętrzną. Atrybutem jej przedewszystkiem jest ziemskość i pospolitość. Prawdziwe cierpienia i rezygnacja często piętnują oblicze męskiem pięknem i szlachetnością; nie ma jednak w twarzach tych buty wyzywającej. „Gęsta mina” ma w sobie pychę i zadowolenie z siebie, pewną arogancję dobrego mniemania o sobie, których nie dopatrzysz w pięknych postaciach Carravaggia albo Reniego.

Kiedy spojrzę w przeszłość i policzę tych ludzi, z których kraj nasz miał chlubę, nie spotykam pomiędzy nimi ani jednej „gęstej miny”. Majestat ducha wytłaczał na nich swój wyraz, lecz walka życiowa przedwcześnie zorała ich czoło i wgłębiła policzki. Któżby się domyślił potężnej myśli w Bartoszewiczu lub Syrokomli, ktoby o uczoność posądził Maciejowskiego lub Dutkiewicza? Tacy niepozorni! Przypominacie sobie, jak wyglądał Tyczyński lub Chomętowski? Zaniedbani, pamiętający o wszystkiem, tylko nie o sobie, spotkani na ulicy, przechodzili niepostrzeżenie. Takim samym jest Kraszewski, Odyniec i Klaczko.

„Gęsta mina” jednak jest wybornym biletem zalecającym, bez którego często wypada się legitymować. W nizkich instynktach ludzkości leży uganianie się za wrażeniem zewnętrznem i hołdowanie pobudkom plastycznym. Tem się dzieje, że przed ludźmi istotnej wartości często zamykają się podwoje sympatji, lgnącej zwykle bezwiednie do ułud powierzchownych. Dopiero wpływ rozsądku i świadomości otwiera oczy na istotną zasługę i blagę przyciemnia; lecz interwencja tych żywiołów często zapóźno przychodzi.

Postacie wyżej wymienione apologji naszej nie potrzebują, przytoczyliśmy je *mode exempli*, mając na względzie ogół zasłużonych, których uczciwej działalności „gęsta mina” nie wspierała. W stosunkach codziennych pozory często nad istotną wartością mają pierwszeństwo, zjawiska zaś tego rodzaju godne są notowania, choćby ze względu na źródła opłakanych zawodów. „Gęsta mina” pociąga ogół, nie zdający sobie sprawę z tego, co się pod nią ukrywa, i staje się nieraz podstawą zaufania, lub trwalszego stosunku, pociągającego najsmutniejsze następstwa.

Nie mamy nic przeciwko poszanowaniu „gęstej miny” w rozkarnawalonym salonie, na ulicy lub spacerze publicznym; niech sobie panuje swobodnie w stosunkach obojętnych i tam, gdzie na coś może się przydać. Zastrzegamy się tylko przeciw hegemonji na wypadek poważniejszych zjawisk życiowych. Młode, niedoświadczone osoby, ulegając plastycznym wrażeniom, często padają ofiarą złego wyboru w małżeństwie, który pokutą całego żywota okupywać im przychodzi. „Gęsta mina” zawodzi nietylko w stosunkach matrymonjalnych, ale i po za nimi, nawet gdy strona druga nie grzeszy brakiem obserwacji.

Wartości ujmującego układu nie mieszajmy z pojęciem, o które tu chodzi. „Gęsta mina” jest, mojem zdaniem, przymiotem negatywnym, polegającym na zogniskowaniu całego „ja” w stronie zewnętrznej. W dworskiem i salonowem życiu może ona znaleźć nawet praktyczny refleks, w stosunkach wszelako szerszych schodzi do znaczenia prostego połysku, po za którym głębszych celów niepodobna się dopatrzeć.

Nawoływanie ogółu do baczności nie na wiele dotąd się przydało, skoro blask zewnętrzny zaślepia nawet wyższe umysły. Fryderyk Wielki odczuwał słabość do ludzi rosłych, to samo Ludwik XIV-ty, i obadwaj chętnie się nimi otaczali, a Bentham zupełną miał słuszność twierdząc, iż „wszystkie sympatje oraz niechęci mają zawsze źródło w powierzchowności.”

Panowanie też „gęstej miny” skończy się nieprędko, jej wpływ jednak nie usprawiedliwiałby tolerancji ogólnych poglądów na tem polu, dlatego w imię przekonania wygłaszając odmienne zdanie... płyniemy przeciw wodzie.

Ad. N.

BRZYDKA.

FRAGMENT Z DRAMATU PRZYSZŁOŚCI.

(Scena przedstawia gabinet, którego umeblowanie łączy w sobie cechy pracowni i buduaru. Sprzęty wygodne ale bez wytworności. Mięszanina książek, rękopismów i kobiecych drobiazgów. Wszędzie panuje nieład, zdradzający raczej lekceważenie wymagań estetycznych aniżeli niedbałość o porządek. Całe urządzenie pokoju ma charakter fantazji niezatrzymującej się na szczegółach artystycznego wykończenia.)

SCENA I-sza.

Brutta *leży na szezlongu. Głowę wsparła na lewej ręce, której palce wpiły się we włosy [illegible]. Prawą ręką przewraca kartki rozłożonej przed sobą książki. Strój jej bez elegancji, daleki jest jednak od niesmacznej ekscentryczności. Chwila milczenia. Brutta podnosi głowę i niecierpliwym ruchem zamyka książkę.*

Jaki to już dziś fałsz... piękność i zawsze piękność — przecież ten oryginalny pisarz przeczuwał nadejście nowych w życiu potęg... czyż nawet tak niepodległy umysł nie był zdolny wyzwolić się z pod tego jednego przesądu?... Szkoda, że tu nie był przed chwilą, przekonałby się z jakiego paradoksu wysnuł swoją „Piękną”, przed jakiem to bóstwem klęczał ten Antinous... *(Siada — kryje głowę w obie dłonie i myśli. Bije godzina. Brutta zrywa się i zaczyna chodzić po pokoju.)* Już pół godziny jak odszedł... wybiegł wzburzony, zrozpaczony... mówił, że tego nie przeżyje... napomknął coś o samobójstwie... *(staje na środku sceny, zakłada ręce i podnosi głowę.)* Oni tak wszyscy mówią... Albożby on to zrobił?... A gdyby zrobił, co go do tego popchnie... energja mężczyzny, który żyć nie chce, czy małoduszność dziecka, które żyć nie może?... Chciałabym to wiedzieć *(zaczyna znów chodzić).* Ale dlaczego mnie to interesuje? Czy ja go kocham *(śmieje się)* Brutto!... Więc i ty pójdziesz utartemi szlakami, i ty będziesz obłudnie kryć zwykły sentymentalizm pod pozę sfinksowej natury, więc i ty chcesz grać przed galerją i przed samą sobą? *(Słychać szelest za drzwiami.)* Może to on wraca... Rzecz szczególna, że uczuwam jakiś niepokój, czy rozdrażnienie? Cóż może się stać nowego?... Postąpi tak, jak inni — przyjdzie błagać o cofnięcie wyroku... a ja go nie cofnę... *(siada z drugiej strony sceny na fotelu.)* Coś się ze mną dziwnego dzieje... Jednak ten człowiek dał mi chwile upojenia... miewałam przy nim uniesienia szału... Dlaczegóż po tych ekstazach pozostał mi tylko [illegible] dok jego zupełnego unicestwienia? Dlaczego on tak długo oddawał się, ginął cały a ja zawsze tak prędko mogłam odebrać się, odnaleźć? *(Wstaje, zbliża się do zwierciadła.)* Co to znaczy, czy przestałam być kobietą?... *(po chwili z przechyloną głową z rękami opuszczonemi i przed sobą [illegible]*

mi, jakby pogrążona we wspomnieniach) **nie — tylko** on nie jest mężczyzną.

Głos kobiecy *(za sceną)*. Ale, kiedy mówię, że pani nie przyjmuje.

Drugi głos kobiecy. Mnie przyjąć musi!

SCENA II-ga.

(Drzwi w głębi otwierają się gwałtownie i wchodzi Bella.)

Brutta *(rozdrażniona)*. Diaczego?

Bella. Jestem...

Brutta. Jesteś piękną... wszak prawda?... i zdaje ci się, że przed pięknością otwierają się wszystkie drzwi... Omyłka co do czasu... tak było niegdyś, tak dziś nie jest.

Bella. Jestem ta, którą kocha Niuno.

Brutta *(z lekkiem szyderstwem)*. Czy tylko wyrażasz się dokładnie, używając czasu teraźniejszego?...

Bella *(spokojnie i wyniośle)*. Od chwili, kiedym cię zobaczyła nie mam już wątpliwości.

Brutta. I dawszy mi do zrozumienia, żem brzydka, zdaje ci się, że wszystko powiedziałaś?...

(Obie kobiety patrzą na siebie przez chwilę wyzywająco, poczem Brutta porywa za rękę Bellę i ruchem nerwowym sprowadza ją na przód sceny.)

Więc kiedy tak, przypatrzmy się sobie dobrze — bo wierzaj mi chwila jest stanowcza. Ty coś nie dalej jak w zwierciadło na odbicie swojej twarzy patrzyła, ty coś z egzystencji kobiety rozumiała tylko to co ci się wonnem kwieciem pod stopy słało, ty, dla której świat był arcytworem piękna, a życie dziełem sztuki. ty się nie domyślasz, że tu w tym pokoju toczy się w tej chwili walka, będąca tylko epizodem wielkiego dramatu.

Bella *(wzruszając lekceważąco ramionami)*. Rozwiązanie dramatu z góry wiadome, ofiara walki naprzód wskazana!... Pojedynek piękności i brzydoty!...

Brutta *(z wyrazem politowania)*. Mylisz się! to walka arystokracji i demokracji.

Bella. Ha! ha! ha! zatem piękność!...

Brutta *(kończy poważnie)*. Jest ostatnią arystokracją.

Bella *(szyderczo)*. Więc i to zniwelować chcecie i ta równość ma odnieść zwycięstwo? I któż to tę rewolucję przeprowadzi?

Brutta. Największy trybun... życie.

Bella. Szalona! Wszak życie stworzyło tę... jak ją nazywasz, arystokrację.

Brutta. Zaślepiona! Wszak życie dało początek wszystkim nierównościom i ono po kolei wszystkie je wyrównało. Spojrzyj na około. Gdzie arystokracja myśli, geniusz? — rozpłynął się w falach powszechnej oświaty. Gdzie arystokracja serca, sztuka? — umiera w zabójczym uścisku rzeczywistości. Gdzie arystokracja ducha, ideał? — ginie w walce o byt. I wobec tego wszystkiego miałby się ostać jeden marny przywilej piękności?

Bella. Tego jednego nie pokonacie... Nie wedrzeć się wam do tajemniczej pracowni natury, gdzie życie urabia się w formie tak doskonałej, że dla wytłumaczenia, zkąd piękność pochodzi, człowiek musiał się uznać dziełem boskiego snycerza. Trzeba było nie pozwalać temu człowiekowi przejrzeć się w strumieniu, zadumać się nad własnym obrazem a potem świat zaludniać marmurowem potomstwem, według którego wzrok matki już w jej łonie rzeźbił klasyczne kształty dziecka. Trzeba było zniszczyć pierwowzór piękności w przyrodzie, rozbić jej formy w sztuce, a potem marzyć o fizycznej nowości. Piękność... Czyż ty nie widzisz, że ona historję świata stworzyła — że odbiwszy się w sercu ludzkiem wydała dobro, a w myśli człowieka dała początek prawdzie?

Brutta. Niepoprawni! którzy jeden mały punkcik na kuli ziemskiej, biorą za świat cały, jedną chwilę życia za historję i którzy zapominają, że w tej samej dobie kiedy Fidjasz rzeźbił w Atenach Wenerę, gdzieś w skwarnym zakątku Afryki, jakaś biedna murzynka wydawała na świat dziecko o niekształtnej głowie, kędzierzawych włosach, spłaszczonym nosie i grubych wargach, mały potworek, mający jednak te same prawa do życia, co model Anadjomene! Tak, prawda, wyście dotąd tworzyły historję świata. Wam starożytność ołtarze stawiała, dla was prowadziła epickie wojny i fałszywe w areopagach wydawała wyroki... O was wschód stawał do walki z zachodem. Wam religja wybawienia rzuciła pod stopy na starcie głowę węża, na waszą cześć poezja wynalazła nowe formy miłości... was życie literatura, sztuka, umieściły na tronie, przed którym wszystko kornie schyla czoło. Ale kiedy się to działo, kiedy piękność upojona takiem wszechwładztwem wierzyła tylko w swoją potęgę, u stóp jej, nisko gdzieś na dnie życia zaczęło się coś poruszać. Z początku powoli, ostrożnie, nieśmiało, potem żywiej, silniej i gwałtowniej, jak robak ciężką przygniatany nogą, **nareszcie gniewnie i rozpaczliwie, jak buntujący się niewolnik.** To brzydota podniosła głowę. Sprzykrzyła jej się pogarda, upokorzenie, które było jej udziałem od kolebki, aż do grobu; raniło ją pierwszeństwo oddawane przez matkę piękniejszej siostrze, chłód ojca, obojętność brata, interesowność kochanka, opuszczenie przez męża; nurtowało w niej głucho przeświadczenie, że ma w sobie wszystkie te same skarby uczuć, te wulkany namiętności, które piękność na wyłączną własność zagarnęła. Uczuła, że tak samo może kochać, nienawidzieć, być bohaterką, stać się zwrotką w poemacie życia... i odegrać rolę w jego wielkich tragedjach. I krzyknęła z bólu, że ją tak wydziedziczono... a odpowiedziały jej tłumy... legjony. Wtedy spostrzegła, że stanowi większość, że piękność, jak każda arystokracja, jest drobną garstką wywierającą despotyzm mocą uzurpowanych od wieków władzy, że brzydota jest jedną z form demokratycznej równości, która kiedyś stanie się podstawą życia. I wstąpiła w nią otucha. Odgadła, że jak niegdyś Fryne potrzebowała tylko zrzucić szaty, żeby pod olśnionemi pięknością sędziami wygrać złą sprawę, tak brzydota zwycięży w dobrej sprawie przywdziawszy na się zasłonę myśli. Odtąd zaczęła się głucha robota, o której wy piękne, a ślepe, nie wiedziałyście nic. Dzisiejsza nauka głosi, że istoty przystosowujące się do nowych życia warunków stwarzają sobie nowe organa. Brzydota zdobyła sobie w walce o byt taki organ. Coś jej przybyło, a wam coś ubywa; a musi w tem być groźba, skoro ty przyszłaś do mnie, skoro stoimy tu obok siebie i mierzymy nasze moce. Kiedy na was patrzę, widzę rasę, która gaśnie. Będzie was na świecie coraz mniej, a nas coraz więcej. Runie wasz klasycyzm, a brzydocie zaświta jutrzenka romantyzmu. Już dziś są tego ślady. Myśl mąci olimpijski spokój piękności, rozpycha głowę, a wycieńcza resztę ciała i rujnuje grecką kształtów harmonję! Gorączka życia orze bruzdami czoła mężczyzn, lica kobiety i nie ma już ani ojców, ani matek, którzyby poczynali dzieci wśród wizyj artystycznych. Piękność zaćmiewa się, brzydota rozjaśnia się, a cień na waszych twarzach jest światłem na naszych—i w tem odwet brzydoty. Co my mamy więcej, co wy macie mniej—niewiem, nikt nie wie, i to może nasza siła wobec mężczyzny. Miłość jest religją natury, a religja bez tajemnic obywać się nie może. Piękność mężczyzna poznał na wskroś i nic już nowego od niej się nie dowie; brzydota ma dla niego niezbadane jeszcze tajniki i te go popychają w nasze sfinksowe objęcia. Ja potrzebowałam tylko moje wyciągnąć, ażeby z twoich wyrwać Niuna. A przecież tyś piękna—jam brzydka. Spojrzyj na mnie, nie szukam w stroju przyozdobienia tego, co się przyozdobić nie da (*mówi jakby w natchnieniu*), ale czy nie bije ze mnie jakaś moc nieznana, niezależna od kształtów ciała, a nawet od duchowej fizjognomji, czy nie wydobywa się ze mnie prąd jakiś, który rzuci mi pod stopy każdego mężczyznę?

Bella *(cofa się przerażona)*. Tyś piękna!

Brutta *(z uśmiechem tryumfu)* Nie, jam silna!

Bella *(trzymając się ciągle zdala)*. Tajemnicę twej siły ja znam... to zmysły!

Brutta *(ironicznie)*. Otóż wielkie słowo... A czemże była twoja siła? Będziesz mi mówiła o poezji promieniejącej od piękności? Znam ja tę waszą poezję,.. to hipokryzja żądzy... a nikt tej obłudy tak nie wydoskonalił, jak piękna kobieta. Pragnienie krwi wyrafinowała tak subtelnie, jedną żądzę tak sztucznie rozrzuciła między wszystkie władze fizyczne i duchowe mężczyzny, tak nią obdzieliła jego serce, myśl, wyobraźnię, nerwy, że dziś nieszczęsny kiedy kocha, to nie wie dlaczego, gdzie źródło jego miłości, czy go przykuwa do kobiety apetyt czy uczucie. Ta nieświadomość jest dla niego zarazem rozkoszą i męczarnią i dlatego od chwili, kiedy zaczyna wiedzieć przestaje kochać, dlatego wasze panowanie nad nim kończy się—nie przemawiacie do jego wyobraźni. — Dlatego Niuno cię rzucił... Ty jesteś dla niego tylko piękną kobietą—ja jestem kobietą.

Bella *(pogardliwie)*. Kobieta—płeć...

Brutta. W tem właśnie nasza potęga całkowita, niepodzielna, że nie jesteśmy na łasce artystycznej formułki.

Bella. To się przecież sprzeciwia innej waszej formułce—naturalnemu wyborowi... Powinna być wybierana piękniejsza.

Brutta *(z uśmiechem)*. Chciałaś zbliżenia, choć ja go unikałam—ale zbliżenie nie dokładne. W naturze samice są brzydkie.

Bella. A więc równość wobec zoologji.

Brutta *(spokojnie)*. Równość wobec życia... a przedtem odwet na was i na mężczyźnie... Patrz, jak się już nasze zmieniły role. Dawniej dla niego miłość była epizodem, dla nas całem życiem, dziś przeciwnie dla nas staje się przygodą, dla nich wypełnia **egzystencję i to wasze dzieło. „Znieprawiwszy" mężczyznę, jak mówi jeden z waszych dramaturgów,** zrobiwszy z niego bezwłasnowolną mięszaninę krwi i nerwów, żyjącą tylko fizycznem wrażeniem, rzuciłyście go do stóp naszych, oddałyście na pastwę nowych, nieznanych mu potęg, które tem ich właśnie do rozpaczy doprowadzają, że nie chcą nad niemi wywierać tego panowania, do jakiego oni przywykli. I oto ten Niuno, o którego walczyć ze mną probujesz, ten mężczyzna, dla którego kobieta jest wszystkiem, ta niezwykła indywidualność, na której energję, czyn, liczył może cały kraj, ten talent, który mógłby może być genjuszem, tarzał się tu przed chwilą na kolanach, aby uwiecznić, utrwalić, choćby tylko przedłużyć to, co dla mnie minęło już bezpowrotnie, bez śladu.

Bella *(głosem drżącym od gniewu)*. To nieprawda!

Brutta *(patrzy na nią)*. Teraz na mnie kolej powiedzieć: tyś brzydka!—i oto zrównałyśmy się zupełnie, bardziej nawet może niż przypuszczasz. Bo ty go nie kochasz—ciebie tu popchnęła próżność, obrażona duma, ból obelgi, jaką brzydota wyrządziła piękności

Bella. A ty?

Brutta. Ja?... Przed twojem przyjściem badałam się sama i miałam wątpliwości... Usiłując przekonać ciebie, przekonałam i siebie. Mogłyżbyśmy tak spokojnie rozprawiać nad wulkanem, gdyby nie wygasł dla obu? Ja wzięłam z miłości to, co ona dać może. Przykuć się do niej nie chcę... Jest tyle innych rzeczy na swiecie. Gdyby Niuno był mężczyzną, odgadłby, że należy być wdzięcznym, pamiętać... i odejść.

(słychać strzał).

razem (**Bella.** Boże!
(**Brutta.** Ach!

Bella *(biegnie ku portjerze)*. Zabiłaś go!

Brutta. Daj pokój!... to krzyk egoizmu, nie serca... żal ci, że to nie dla ciebie!

(Postępuje zwolna do portjery, odsłania ją i stoi przez chwilę patrząc do drugiego pokoju. Potem nachyla się, wyciąga rękę za portjerę i podniosłszy jakąś kartkę, czyta ją).

Bella *(stanąwszy w bolejącej pozie)*. Jaki on piękny!

Brutta *(spojrzawszy na kartkę)*. Jaki on słaby! *(podaje kartkę Belli)*. Patrz, czytaj!

Bella *(czyta)*. „Niepodobna mi było żyć bez twojej pieszczoty"! *(Mnie kartkę i rzuca ją na ziemię).*

Brutta. Porzuć gniew... *(żegnając ją gestem)* i odejdź w spokoju... Wierzaj mi, nie miałyśmy o co walczyć!

(Stoi zamyślona przy uchylonej portjerze—Bella zwolna kieruje się ku drzwiom środkowym. Zasłona spada).

Władysław Bogusławski.

RADA.

Stary dandys widząc z żalem,
Że już trudno młodość wskrzesić,
Postanowił się ożenić,
Lub powiesić.

Dumał długo... Wybrał wreszcie
Najpiękniejszą z dziewic grona,
Myślał bowiem: z dwojga złego
Mniejsze... żona.

Trzy dni całe był szczęśliwy,
Mniej wesoły dnia czwartego,
Po tygodniu go znaleźli
Wiszącego.

Ztąd nauka jasna płynie
Dla ogółu łysych stworzeń:
Wprzód się lepiej powieś bratku
Potem ożeń.

Kazimierz Bartoszewicz.

Raz jeszcze o jaroszach i jarstwie.

W roku ubiegłym zbogaciliśmy się wynalazkiem nie nowej wprawdzie rzeczy, ale nowego wyrazu, skleconego bardzo pięknie i bardziej jeszcze dowcipnie, choć ze stanowiska zdrowego rozsądku nie powinienby on przeżyć roku, w którym powstał. Dziś tedy tylko raz jeszcze pozwolimy sobie go użyć.

Niewielu zapewne czytelników widziało dzieło, czyli też rozprawę, w której, dla zbawienia ludzkości, rzecz o „jarstwie" wyłożoną została; ze sprawozdań jednak *Kurjera* wiadomo, że nazwa ta tyczy się wegetarjanizmu, to jest żywienia się pokarmami wyłącznie roślinnemi. Jarosze zatem są to ci, którzy taki tryb życia prowadzą, jary bowiem, to zdrów, silny, rześki—te zaś przymioty przyrzeka **autor za wyrzeczenie się befsztyków i kotletów.**

Rzecz sama, jakkolwiek w nowy wyraz ubrana, jest bardzo stara, że jednak stale się od czasu do czasu wynurza, zastanowić się nad nią warto.

Wół nie ma kłów i dlatego poprzestaje na pokarmach roślinnych, tak jak tygrys, w braku zębów trzonowych, ograniczać się musi pożywieniem mięsnem. Człowiek, według układu swych zębów, należy do zwierząt wszystkożernych, lubi on wszakże poprawiać naturę i wpadł na pomysł zupełnego wyrugowania pokarmów mięsnych ze swego jadłospisu. Zobaczmy, jak pomysł ten przedstawia się w świetle teoryj naukowych.

Nikt zapewne dziś już nie sądzi, że organizm ludzki lub zwierzęcy sam przez się ma możność wytwarzania siły. Jak wszystkie inne twory przyrody, ulegamy ogólnym jej prawom; objawy życiowe stanowią tylko zawiłą sprawę przeobrażeń materji i siły, czyli raczej, jak się dziś w nauce mówić zwykło, energji. Jak materję, tak i siłę, organizm musi czerpać z zewnątrz. Praca człowieka wytwarza się w sposób podobny, jak w machinie parowej. Jak w tej ostatniej zasób energji chemicznej, złożony w węglu, przeobraża się w ciepło, a ciepło to w dalszym ciągu przeinacza się w pracę mechaniczną, tak i w istocie żywej następuje kolejno nieprzerwany ciąg tych przeobrażeń; jak w machinie parowej, tak i za pośrednictwem mięśni naszych przemiana ciepła w pracę dokonywa się zawsze w jednakim stosunku.

Praca więc, jaką wykonywamy, jest przeobrażonem ciepłem, a już od końca zeszłego stulecia źródło tego ciepła przestało być tajemnicą. W organizmie, jak w piecach naszych, odbywa się istotne palenie, jakkolwiek nie towarzyszą mu objawy ognia i światła. I co do materjałów opałowych w obu tych, tak na pozór różnych sprawach, istotnej nie ma różnicy, bo i pokarmy nasze przeważnie składają się z węgla i wodoru, oraz w jednym i drugim razie też same głównie wytwarzają się produkty spalenia — kwas węglany i para wodna.

Pod względem składu chemicznego, pokarmy nasze rozpadają się na dwie grupy, a to stosownie do tego, czy w skład ich, obok węgla i wodoru, wchodzi azot, czy też są od tego pierwiastku wolne; mamy przeto pokarmy azotowe, jak: białko, mięso, jaja, ser, i pokarmy bezazotowe, jak: mączkę, cukier, tłuszcze. Zasługi Liebiga w nauce wszystkim są znane, w czasach jednak, gdy uczony ten kreślił prawa chemji fizjologicznej, zasada zachowania siły, równoważności ciepła i pracy, znaną jeszcze nie była; wtedy też mógł on wypowiedzieć pogląd, że pokarmy azotowe dostarczają organizmowi zasobu pracy, bezazotowe zaś, są dlań głównie źródłem ciepła.

Mniemanie to dotąd jeszcze dosyć jest rozpowszechnione, w obec nowych jednak teoryj fizycznych nie ma żadnej zgoła podstawy; zasób bowiem ciepła, złożony w materjałach bezazotowych, równie jak w azotowych, w pracę przeobrażonym być może. Ważność pokarmów bezazotowych podnosi się nawet z tego względu, że spalenie ich w organizmie, czy też na zewnątrz organizmu, wytwarza większe ilości ciepła, aniżeli spalenie pokarmów azotowych; co większa, okazało się, że rozkłady ciał azotowych nie wystarczają w wielu razach do wytworzenia pracy, którą organizm zwierzęcy produkuje.

Uwagi te, osłabiając znaczenie pokarmów azotowych, mięsnych, są wodą na młyn zwolenników wegetarjanizmu, wszakże pozornie tylko, gdyż bliższe zastanowienie się wykazuje niedostateczność pożywienia wyłącznie roślinnego. Nietylko bowiem ostateczny materjał pracy, ale i same jej narzędzia, mięśnie nasze, zużywają się bezustannie, a są one właśnie z materjałów azotowych zbudowane i odtworzenie ich wymaga odpowiednich części składowych.

Pod wpływem promieni słonecznych, roślina przetwarza materjały mineralne w bardziej zawiłe związki organiczne, jak: mączkę, cukier, tłuszcze. Przeobrażenia te dokonywają się w dalszym ciągu w organizmie zwierzęcym, a gdy spożywamy mięso wołu, korzystamy już z procesów, które się w organizmie jego dokonały, przeprowadził on bowiem za nas w części sprawę trawienia.

I z innego jeszcze względu okazuje się ważność substancyj azotowych, są one bowiem niezbędne do rozprowadzania tlenu po naszym organizmie, tlenu, bez którego, podobnie jak w piecach naszych, nie może nastąpić palenie, nie wytworzy się ciepło i praca. Pośredniczką mianowicie w roznoszeniu tlenu jest krew, a raczej ciałka krwi, przebiegające po tętnicach całe ciało, a jak i inne substancje zwierzęce zawierają one tlen w swoim składzie.

Pokarmy więc azotowe, wobec dzisiejszych teoryj naukowych, zachowują pełną swą wartość wraz z roślinnemi—jedne i drugie niezbędne są dla utrzymania życia naszego. Pokarmy roślinne zawierają zbyt drobne ilości białka, dla utrzymania więc organizmu spożywane być muszą w nadmiernych ilościach.

Fizjolog Cramer, który niedawno miał sposobność zbadania trybu żywienia się wegetarjanów, poznał, że ilościowego tego nadmiaru pokarmów unikają oni tylko przez spożywanie białka zwierzęcego w postaci jaj i mleka. W najlepszym razie metoda ta żywienia się jest już dlatego niepraktyczną, że za tęż samą cenę otrzymać można daleko większą ilość pokarmów mieszanych i pożywniejszych. Cramer zwraca wreszcie uwagę i na to, że organizm tak żywiony w przypadkach choroby przedstawia słabszą oporność.

Dlatego też wszelkie usiłowania stronników wegetarjanizmu, choćbyśmy go „jarstwem" nazywali, pozostaną zawsze czczą zabawką.

Stanisław Kramsztyk.

NA GODY.

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę,
Dali łapcie, z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba...
— Idźże, Jaśku, w świat szeroki,
Na wschód słonka, na wschód nieba.
Jeszczećbym ci w chacie rada,
Zbierzesz chrustu, dźwigniesz wody...
Ano—kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie „na Gody?"
A gódźże się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę...
A gódźże się u bogacza
W dobre słowa, w dobrą wiarę
Jak przesłużysz ze trzy lata.
Może da ci buty stare,
A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Choćby jaki szmat kożucha...
— A i długoż mi matusiu,
Na te buty służyć w świecie? —
— Aż cię, synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca w dół przygniecie...
— A i długoż mi, mateńko,
Na ten kożuch służyć trzeba? —
— Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
Z wysokiego swego nieba.

Idzie Jasiek po ścieżynie,
Co się spojrzy—to ją minie,
Co się spojrzy, to się smuci,
Albo pójdzie—albo wróci...

Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa,
Czegoś skrzypi, czegoś biada,
Dziw do niego nie zagada...
Oj! nie użył Jasiek w chacie
Ani wczasu, ni swobody...
Ano—kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie na „Gody?"

Marja Konopnicka.

SPOTKANIE Z PIEŚNIĄ.

Kula, Czyflik i Dolapy — są to trzy ubogie wioski, na poły bułgarskie a na poły tureckie, położone o kilka kilometrów od Ruszczuku.

Przejeżdżałem tamtędy kilka lat temu.

Nie ma tam nic szczególnie ciekawego — ani krajobraz też nie zaleca się pięknością, ni rozmaitością, tak, że podróżnemu nie można brać za złe, jeżeli znużony jednostajnością widoku, pogrąży się w zadumie i głowę pochyli ku ziemi. Za to w tem położeniu i w tem otoczeniu człowiek nic a nic nie widzi.

I mnie się to zdarzyło w pobliżu Czyfliku, gdzie siadłem na odłamie zwalonego muru, który niegdyś otaczał cmentarz mahometański.

Na cmentarzach mahometańskich gnieżdżą się zwykle gromady opuszczonych psów i kotów. Toż samo było i na cmentarzu, na który patrzyłem. Co człowieka obchodzić może, jakie stworzenia depczą mahometańskie mogiły...

Zadumałem się więc, a myśl moja pobiegła daleko przez Dunaj do Czech i długo, długo ztamtąd nie wracała...

Pogrążony w marzeniach byłbym tam siedział i dumał o tem, co mi było tak drogiem a tak dalekiem, gdyby z zaczarowanego koła marzeń, nie wyrwał mnie nagle wypadek drobny, który nagle zmienił fizjonomję martwego krajobrazu i napełnił ją odrazu życiem i gwarem.

Z po za wioski tak cichej jak ten wiejski cmentarz, wysunęły się nagle szeregi wojsk bułgarskich, wracających pewno z pod Ruszczuku.

Szeregi te zbliżały się wprost ku mnie.

Grzmot bębnów dobiegał mnie już zdaleka.

Za idącemi przodem doboszami postępował w milczeniu kapelmistrz na czele orkiestry.

I on także był jakiś zatopiony w marzeniach. Z pochyloną ku ziemi głową postępował automatycznie. Dopiero zrównawszy się ze mną, instyktownie, czując może utkwione w sobie moje spojrzenie, jakby ze snu zbudzony, zwrócił ku mnie oczy, w których odmalowały się ciekawość i zdziwienie.

Obcy człowiek — to rzadkie zjawisko w głuchej bułgarskiej wiosce.

Wtem nagle ręka kapelmistrza podniosła się w górę.

Skinął pałeczką.

Zagrzmiały wrzaskliwe puzony i trąby — zawtórował im huk bębnów.

Słuchałem przez chwilę.

Z powodzi dźwięków ucho moje pochwyciło ton jeden, drugi, trzeci...

Zerwałem się z miejsca i jak szalony pobiegłem za kapelmistrem i za orkiestrą.

I jakże miałem nie biedz, kiedy melodja brzmiąca mi w uszach, był to czeski hymn „Kde domow muj" budzący w mojem sercu echo najrzewniejszych wspomnień.

— Co to jest?—zapytałem zdumionego kapelmistrza.

— Widząc pana, przyszło mi na myśl czy pan czasem nie jesteś czechem — otóż pan zrozumiał moje zapytanie. Nie zawiodło mnie ono nigdy.

I od tej chwili zaprzyjaźniłem się z kapelmistrzem. Był to poczciwy czech, dzięki któremu najpiękniejsze wspomnienia, jakie wywiozłem z mej podróży po Bułgarji związane są dla mnie z tą głuchą, smutną i pustą doliną, wśród której rozsiadły się wioski Kula, Czyflik i Dolapy.

Niech mi wolno będzie to moje osobiste wspomnienie poświęcić jubileuszowemu obchodowi, bo oto właśnie dobiega pięćdziesiąt lat jak nasz czeski hymn narodowy zabrzmiał po raz pierwszy.

Edward Jelinek.

BALLADA GANNY.

URYWEK Z DRAMATU HISTORYCZNEGO

p. t.: „W imię Krzyża."

(**Winrych**, młody krzyżak.—**Ganna**, pogańska guślarka).

Winrych.

A teraz z nami sprawa!

Ganna.

Krywe woła;
Iść muszę (*chce się wyrwać*).

Winrych.

Stój mi, ja tej strasznej zmorze
Nie sprostam; muszę mieć klucz tajemnicy!

Ganna.

Prawda nie zawsze ma promień na czole,
Czasem nie można uchylić przyłbicy,
Bo wzrok jej zabić gotów.

Winrych.

Ja śmierć wolę
Nad tajemnicę; mniejsza, co obwieści.

Ganna (*po krótkiem wachaniu*).

A więc posłuchaj krzyżackiej powieści.

Krzyżacka szarańcza napadła na sioła
I wszystko wycięła, spaliła dokoła,
I pustki zostały, i zgliszcza;
Bo mówią, że w sercu okrutnem jej gości
Pod krwawym pancerzem Bóg wielki miłości,
Co zburzyć ma nasze bożyszcza.

O! straszny jest Bóg ten i strasznie on kocha!
Pod jego uściskiem świat kona, lub szlocha,
Krew gasi święcone ogniska;
I nic mu nie święte: ni starca skroń siwa,
Ni młodzian dorodny, ni matka szczęśliwa,
Ni małych niemowląt kołyska.

Krzyżacka szarańcza li tylko w pogoni
Pogańskie dziewice od śmierci uchroni
I w jasyr zapędza i pęta;
Lecz nigdy swej wiary im łask nie użycza,
Bo z wiarą by godność ich strzegła dziewicza,
A im są potrzebne — zwierzęta!

Bo krzyżak poprzysiągł u Pańskich ołtarzy,
Że chuciom swym wiernie stać będzie na straży,
Że obcą mu będzie ponęta

I oczu, i krasy, i wdzięków podnięty;
Lecz tutaj on wolny: to nie są kobiety,
To tylko niechrzczone — zwierzęta!

O hańbo! o sromie! o straszna boleści!
Czy wiesz, taka dola co znaczy, co mieści,
Czy wiesz, jaka ona przeklęta?
I nie módz złamanem podźwignąć się skrzydłem,
I wstrętnym uściskom w ramieniu obrzydłem
Sługiwać, i rodzić — zwierzęta!

I nie módz, o! nie módz—to nadmiar jest zbrodni
Rozniecić nadziei w miłości pochodni,
Co w pierś każdej matki zaklęta:
Bo gdy już dzieciny pociesza spojrzenie,
Od łona ją matki oderwą jak szczenię!
Bo wszakże to tylko — zwierzęta!

I szczenię wyrasta na wilka. Śród hordy
Na nowe zaprawia się gwałty i mordy
I w bratniej posoce się spławia.
O Boże! czy zwiesz się Chrystusem, Perkunem,
O roztwórz niebiosa i stań się piorunem,
I zbaw nas od wiary — co zbawia!

(Stoi zatopiona w postaci natchnionej. Winrych, który dawał znaki wielkiego niepokoju, podbiega ku niej).

Winrych.

Po co śpiewałaś mi tę dziką powieść?
Co ona znaczy i czego ma dowieść?
Jakiż jej związek z twoją tajemnicą?...

Ganna.

I jam za młodu była niewolnicą!...

Winrych.

Cóż dalej?

Ganna.

Byłam i młodą i gładką...

Winrych *(wybucha).*

Tyś moja matka!

Ganna *(wyciąga ku niemu ręce).*

Synu!

Winrych *(cofa się pomieszany).*

Ty! — ty...

(z wielkim okrzykiem, rzucając jej się do nóg)

Matko!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

Józef Kościelski.

W GÓRACH.

— Panie drogi—mówił do mnie jeden z przyjaciół, wielki dziwak —panie drogi, homeopaci mają znakomitą zasadę: „podobne leczy się podobnem". Przecież ospę leczą ospą, a Pasteur nawet wściekliznę chce leczyć wścieklizną. Ale na co te przykłady: opowiem panu fakt, na który patrzyłem, gdzie człowiek, z urojonego strachu—uleczył się za pomocą istotnego niebezpieczeństwa.

Po tym wstępie mój przyjaciel zapalił cygaro i ciągnął dalej:

— Pierwszy raz widziałem Alpy przed dwudziestoma laty, przyjechawszy do Thusis. W kilka dni po przybyciu do tego miasteczka, wybrałem się z pewnem towarzystwem na mały spacer. Przy tej jednak okazji najadłem się tyle strachu, że, zniechęcony, natychmiast opuściłem Thusis, a następnie przez kilka lat nie mogłem patrzeć na góry.

Na ową wycieczkę poszliśmy w sześć osób: było nas dwu polaków, niemiec, anglik i dwie damy francuski, wszystko lokatorowie tego samego hotelu. Nie wzięliśmy przewodnika, ponieważ anglik znał miejscowość, a szczyt, na który mieliśmy się drapać, zdawał się tak widocznym i łatwym, jak to krzesło na środku pokoju. Widziałem wprawdzie przez lunetę na stoku góry jakieś zmarszczki poprzeczne i podłużne; ale ponieważ nie były większemi od zagonów, nie myślałem o nich. Dziwiłem się nawet, że na taki spacerek wychodzimy z hotelu o dziewiątej rano; nie chcąc jednak przyznawać, iż nie mam pojęcia o górach, nie robiłem żadnych uwag a w podróży zachowywałem się jak turysta, który przedeptał Himalaje, co zjednało mi ogólny szacunek, a wyjątkową sympatję u niemca.

Naturalnie, odpłacałem mu wzajemnością; był to bowiem niesłychanie miły człowiek, który miał niestety! jedną wadę: chorował na zawroty głowy.

Drogę mieliśmy wesołą; wszyscy, nie wyłączając anglika, zbytkowali jak dzieci; tylko ja byłem poważny, a niemiec na każdej spadzistości oglądał się za siebie i cytował wyjątki z Wirgiljusza. Mówił, że jest to najlepszy sposób odwrócenia uwagi od tego, na co nie chcemy patrzeć.

— Więc i tutaj kręci się panu w głowie?—spytałem.

— Tak—odparł szybko—ale... nie mówmy o tem, bo nie zrobię ani kroku naprzód.

Umilkłem, a mój niemiec coraz głośniej deklamował Wirgiljusza i coraz częściej oglądał się za siebie. Raz nawet schwycił mnie za rękę i szepnął do ucha:

— Pański spokój jest dla mnie źródłem odwagi. Gdyby pana tu nie było, ustałbym w drodze, albo... karkbym skręcił...

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ponieważ stan mojej duszy był zupełnym kontrastem tego, co biedny towarzysz wyobrażał sobie o mnie.

Przedewszystkiem mocno mnie niepokoiło to, że, pomimo dwugodzinnej podróży, góra, na którą mieliśmy wejść, wcale się do nas nie zbliżyła: zdawało mi się, że ciągle stoi od nas mniej więcej o wiorstę drogi. Ale moje zakłopotanie dosięgło zenitu, gdy nagle, góra, dokąd zbliżaliśmy się, znikła, a zamiast niej, zobaczyłem ogromne masy ziemi i skał, które zaczynały się gdzieś głęboko w dole, a kończyły—chyba pod gwiazdami.

Ściana, na którą wdrapywaliśmy się, miała formę olbrzymich schodów, ze stopniami po kilkaset kroków wysokiemi. Stanąwszy pod takim stopniem, myślałem, że to już szczyt; lecz po kwadransie wchodzenia przekonywałem się, że zamiast na szczycie, znajdujemy się na nowym stopniu, albo na małem poletku, za którem stoi jeszcze jeden stopień. I tak bez końca.

Droga tymczasem stawała się coraz dzikszą. Znikły lasy, trawa, kosodrzewina, nawet ziemia—gruntowa. Stąpaliśmy po warstwie kamieni, coraz większych i coraz łatwiej usuwających się z pod nóg. Coraz większą gromadą otaczały nas olbrzymie czuby gór, przystrojonych kitami obłoków, albo wąwozy dyszące mgłą niebieskawą.

Niekiedy fałdy góry wygładzały się; niknęły jej wielkie stopnie i tarasy, a zamiast nich widziałem pochyłą ścianę, która wymykała mi się z pod nóg i biegła stromo aż do szafirowych lasów, drzemiących o wiorstę głęboko. Raz, gdym na chwilę zapomniał, że jestem na górze, przewidziało mi się, że stoję na równinie, która uchyla mi się pod nogami; część jej nagle podnosi się aż do nieba, a druga część spadła gdzieś aż do wnętrza ziemi. Uczułem zawrót głowy i, aby nie stoczyć się, chwyciłem za ramiona, idącego przedemną niemca. On przyśpieszył kroku i po paru minutach znaleźliśmy się w miejscu mniej stromem.

— Dziękuję panu...—szepnął, mocno ściskając mi rękę.—Już mi lepiej... Uratowałeś mi życie...

Osłupiałem ze zdumienia. A tymczasem, idące przed nami damy poprawiały na sobie szale i sukienki, które, według ich opinji, układały się niedosyć estetycznie.

— Ogromny upał!—rzekła jedna.

— Co za niewygodna droga!—biadała jej towarzyszka.

Po kwandransie spokojniejszej drogi, ściana, na którą wstępowaliśmy, skończyła się. Zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają nas nagie albo śniegiem pokryte wierzchołki gór, że między nami i niemi nie ma nic, a raczej jest tylko powietrze. Nie wiem dlaczego, uczułem w tej chwili jakąś spokojną dumę i bezprzedmiotowy zachwyt.

— Jesteśmy na szczycie—rzekł anglik i skłoniwszy się damom, zapalił cygaro.

— Prześliczny widok!—zawołały obie panie.

Wydobyły z kieszeni lusterka i zaczęły poprawiać sobie nieco potargane włosy.

— Druga godzina!—odezwał się mój rodak po polsku.—Djabli wzięli obiad, a może i kolację...

Niemiec tymczasem usiadł i pochyliwszy twarz do ziemi, począł deklamować Wirgiljusza.

— Czy widzisz pan Thusis?—spytałem go.—Wygląda jak kilka ziarek grochu.

— Nic nie widzę i na nicnie patrzę—odparł.—Nadewszystko nie wiem czy ztąd zejdę!...

Anglik spostrzegł bladość na jego twarzy, pokręcił głową i podał mu flaszkę koniaku. Chory biedak wypił, trochę odpoczął i uspokoił się.

Siedzieliśmy z kwandrans, gdy zerwał się wiatr dosyć chłodny. Właśnie spoglądałem w kierunku Thusis i zobaczyłem szczególne zjawisko. W głębokim wąwozie, który leżał u nóg naszych, błękitna mgła nabrała jaśniejszej barwy, potem zrobiła się niebieskawą, blado-niebieską, nareszcie zupełnie białą. A potem szybko zaczęła wypełniać wszystkie doliny, tak, że zdawało się, iż otacza nas morze mleczne, po którem szczyty gór pływają. I nietylko pływają, ale stopniowo zaczynają zanurzać się i tonąć. Widziałem wyraźnie jakiś ruch między mgłą i chmurami, ale przeraziłem się, gdym spostrzegł, że szczyt, na którym stoimy, poczyna także spadać na dół... Byłbym przysiągł, że spadamy na rozpostarty pod nami obłok, ku któremu zbliżaliśmy się ogromnie prędko!

— Co to znaczy?—zapytała jedna z dam anglika.

— Mgła podnosi się w górę—odparł nieco zasępiony.—Musimy schodzić—dodał.

— A więc to nie my spadamy, tylko mgła podnosi się ku nam!...—pomyślałem znacznie spokojniejszy.

Ale obłoki mają skrzydła. Jeszcze nie zdążyliśmy powstać z siedzenia, a już mgła otoczyła nas ze wszech stron i pomimo dnia, zrobiło się tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet o parę kroków. Na rękach i twarzach poczuliśmy wilgoć, potem zaczął padać deszcz, potem deszcz ze śniegiem, a potem śnieg tak gęsty, jak z nas podczas zawiei.

Pomimo to szliśmy, trzymając się za ręce; droga bowiem była bezpieczna, a anglik znał ją wybornie. Niekiedy pod nogami usuwały nam się śliskie kamienie, a wówczas—zjeżdżaliśmy kilka łokci na dół wśród ogromnego śmiechu. Najgłośniej śmiał się niemiec, który nabrał doskonałego humoru od chwili kiedy mgła zasłoniła mu spadek góry i przepaście pod nią leżące.

Po jednem takiem poślizgnięciu się zjechaliśmy nie dwa albo trzy, ale ze trzydzieści łokci na dół. Już damy zaczęły krzyczeć ach! ach! kiedy pęd nasz zwolniał i uczuliśmy pod nogami twardą skałę.

Niemiec, bardzo zadowolony, powstał pierwszy i wyciągnąwszy kij, chciał iść naprzód. Ale zatrzymał go anglik.

— Za pozwoleniem— rzekł— muszę zorjentować się gdzie jesteśmy.

Posunął się kilka kroków po omacku i wnet rozpłynął się we mgle jak cień.

— Ho! ho! — zawołał po pewnym czasie.

Odpowiedzieliśmy. Wrócił do nas i poszedł w przeciwnym kierunku.

— Ho! ho!...

Znowu wrócił, ale na jego twarzy dostrzegliśmy niepokój.

— Może przyda się panu busola? — spytał go mój rodak.

— Ależ naturalnie, pokaż pan! — odpowiedział anglik, niecierpliwie chwytając w rękę małą buselę, którą mój rodak ozdabiał dewizkę zegarka.

Anglik patrzył, kręcił busolą i głową, wreszcie klasnął językiem.

— Musimy zatrzymać się, dopóki mgła nie przejdzie — rzekł z uśmiechem do dam.

A do nas szepnął:

— Zbłądziliśmy, jesteśmy zupełnie w innej stronie góry...

— A jak wysoko stoimy?... — zapytał niemiec.

— Może w połowie góry, zresztą... czy ja wiem?

— A może tu jest gdzie przepaść?... — spytał znowu niemiec.

— I za to nie ręczę — odparł anglik. — W każdym razie brzegi tej skały są bardzo spadziste.

Damy siedziały zachmurzone.

— Szkoda, żeśmy nie wzięły maszynki do czekolady — odezwała się jedna z nich.

Było już po czwartej, kiedy dmuchnął silny wiatr z boku i na chwilę odsłonił horyzont.

Dreszcz przebiegł mi po skórze. Zobaczyłem, że siedzimy jakby na gzymsie, kilkanaście łokci szerokim. Za nami stała spadzista ściana góry, pokryta ślizgiemi kamieniami, po których w tej chwili niepodobna było się wdrapywać a przed nami—o wiorstę niżej — dolina...

O zejściu z gzymsu w stronę doliny nie mogło być mowy: w tem bowiem miejscu skalista ściana góry spadała prawie prostopadle.

— Kiedyż ruszymy, panowie? — odezwała się jedna z dam.

— Jak mgła przejdzie — odpowiedział anglik.

— A jeżeli do nocy nie przejdzie?

— To będziemy tu nocowali.

— Pan żartuje?...

— Wcale nie — odparł z powagą. — Wpadliśmy w pułapkę i musimy być cierpliwymi.

— Więc dawajcie panowie jakieś hasła — wtrąciła druga. — Okolica nie jest przecież pusta, może kto usłyszy...

— Właśnie tak chcemy zrobić...

Mój ziomek miał rewolwer, z którego począł strzelać w stronę doliny. Ale huk był tak słaby, żem wątpił, aby go kto usłyszał.

Tymczasem mgła gęstniała coraz bardziej. Damy owinęły się w szale i siedziały smutne, a niemiec chodził tam i napowrót, z oznakami wielkiego rozdrażnienia.

Nagle wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Twarz jego miała okropny wyraz.

— Panie — rzekł zmienionym głosem — wiem, że siedzimy nad przepaścią, a choć jej nie widzę, na samą myśl o niej czuję tak straszny zawrót głowy, że... nie wytrzymam dłużej...

— Więc cóż pan zrobisz?... — zapytałem zdumiony.

— Rzucę się! Wolę zginąć, niż tak cierpieć...

Pana tylko ostrzegam o tem; inni niech nic nie wiedzą...

— Oszalałeś?...

— Tak... czuję, że oszalałem...

W tej chwili zbliżył się anglik, i, nim się opamiętałem, pochwycił szalonego. Chciał związać mu ręce, a do mnie rzekł półgłosem:

— Spodziewałem się tego... Zarzuć mu chustkę na głowę...

Ale nieszczęśliwy wyrwał się, odepchnął nas obu i pobiegł wzdłuż gzymsu, na lewo.

Po chwili usłyszeliśmy ciężki upadek i stłumiony grzechot toczących się kamieni...

— Co się tam dzieje? — zawołała jedna z dam, usłyszawszy hałas.

— Nic — odparł głucho anglik. — Nasz towarzysz probuje wejść na górę...

A do mnie szepnął:

— Ani słowa o tem, bo inaczej reszta pójdzie za nim. W takiej chwili szał jest zaraźliwą chorobą. Straszne położenie...

Wypił potężny łyk koniaku, poczęstował mnie, a potem... ładnym tenorem zaintonował arję z jakiejś operetki! Zachmurzone francuski rozjaśniły twarze i... zaczęły śpiewać razem z anglikiem. Nawet mój rodak zapomniał o obiedzie i zawtórował im fałszywym basem, nieustannie myląc się w melodji.

Tylko ja milczałem zdumiony i przerażony. Ten śpiew nad przepaścią, po tak strasznym wypadku, dał mi poznać nadludzką zimną krew anglika, ale i grozę położenia.

— Śpiewaj pan! — zawołała do mnie jedna z dam. — Jest to najlepszy sposób na nudy i zimno.

— Może także zwróci na nas uwagę górali — dodała druga.

I zaczęli we troje nową arję, jeszcze weselszą. Tym razem mój ziomek darł się bez ceremonji, po polsku w te słowa:

„Żeby cię djabli porwali, angliku, razem z twoją górą! Gdybym nie bał się szwajcarów, zjadłbym cię zamiast cielęciny na obiad!"

Anglik bardzo uprzejmie zwracał do niego twarz pobladłą i wywijał takt ręką.

W tem... usłyszeliśmy jakiś głos z dołu. Anglik zerwał się na równe nogi i pobiegł w tę stronę gzymsu, z której rzucił się niemiec.

— Hop! hop! — wołano z dołu.

— Hop! hop! — odpowiedzieliśmy chórem.

Obie damy pocałowały się z radości.

— Nie zabiłem się! — wołał głos. — Schodźcie państwo tędy na dół!... Pyszna droga!...

Ze zdumieniem poznaliśmy głos naszego niemca.

— Z tego gzymsu panowie możecie zeskoczyć, jest zaledwie kilka łokci wysoko... Ale damy trzeba znieść na ramionach — krzyczał niemiec.

— Chwała Bogu — zawołał mój ziomek — przynajmniej zjem dziś kolację!...

I skoczył prosto w mgłę.

Usłyszeliśmy znowu grzechot kamieni i biadający głos ziomka:

— A niech go piorun trzaśnie z taką drogą!... Pewniem nogę wywichnął...

Poczem usłyszeliśmy w dole rozmowę. Widocznie już spotkał się z niemcem.

Z kolei zeszliśmy wszyscy, pomimo protestu pań, które w żaden sposób nie chciały stawać na ramionach anglika. W końcu jednak rozmyśliły się; skała bowiem w tem miejscu tworzyła rodzaj progu, wysokiego na trzy do czterech łokci, zkąd trzeba było albo skakać, albo schodzić przy pomocy osoby stojącej na dole.

Opuściwszy fatalny gzyms, znaleźliśmy się na spadzistym stoku, od góry do dołu zasypanym kamieniami. To też nie szliśmy, ale staczaliśmy się z ogromną szybkością i hałasem, wziąwszy się we czworo za ręce: panie w środku, a my z anglikiem na skrzydłach. Poniżej nas, trochę z boku, ujrzeliśmy we mgle jadące dwa cienie. Był to mój ziomek i niedoszły samobójca — niemiec. Pomimo wielkiej szybkości, nieomal przez kilka minut toczyliśmy się po stromym spadku góry. Im jednak spadaliśmy niżej, tembardziej mgła rzedniała; nareszcie, w połowie spadku, ujrzeliśmy dolinę, a na niej kilka pasterskich szaletów.

Gdy w kwadrans później zeszliśmy się wszyscy na łące, anglik, wziąwszy niemca pod rękę, rzekł do pań:

— Czy panie wiedzą, że przed godziną ten człowiek chciał się zabić?

Samobójca, zawstydzony, odszedł na bok, a francuzki, widząc powagę, z jaką anglik mówił, zaczęły się śmiać. Nawet mój ziomek uważał to za doskonały koncept. Ale gdyśmy opowiedzieli wypadek, jedna z dam rozpłakała się, a druga dostała spazmów.

Istotnie chwilowemu szaleństwu naszego towarzysza zawdzięczaliśmy życie. Gzyms bowiem wisiał nad przepaścią, a tylko w tem miejscu zkąd skoczył niemiec, można było zejść w dolinę bez narażenia się na śmierć.

Reszta jego przygody była dosyć prosta.

Rzuciwszy się ze skały, trafił na warstwę kamyków, a chcąc prędzej skończyć ze swym zawrotem głowy, biegł przed siebie na oślep. Po kilku minutach wyminął strefę mgły i zobaczył—drogę bezpieczną. Wtedy, ochłonąwszy ze wzruszenia, z niemałym trudem wdrapał się znowu na górę, aby nas z niej sprowadzić.

— No, i co pan powiesz—zakończył mój przyjaciel—że od tego wypadku niemiec najzupełniej pozbył się zawrotu głowy?... Został nawet członkiem klubu alpejskiego, a dziś, jego nazwisko spotykam na liście turystów, którzy wchodzą na najwyższe szczyty...

Podobne, leczyć podobnem!

Bolesław Prus.

MASKA.

Co to trudu, co trudu!
Życie nie jest zabawą;
Spojrzyj w lewo i w prawo,
W lewo, w prawo tłum ludu;
Ten się śmieje, ten mili,
Ta w godowej sukience,
Ci się wzięli za ręce,
Jakby walca tańczyli;
Ten spogląda się zbożnie,
Niby święty z obrazka...
Bratku! z nimi ostrożnie
To maska.

Wszystko ładnie i składnie
Pozorem się napiętrza,
Kto tam kiedy odgadnie,
Kto tam zajrzy do wnętrza!
Choć jak gdyby w jarmarku
Świecidełka się roją,
Człek ma biedę na karku
I nie swoją, i swoją.
Ale z życia nauka:
Wiązać oczy przepaską —
I któż biedy doszuka
Pod maską.

Zachowato, bogato,
Ten się stroi, ten puszy,
Twarz nam dana wszak na to
By zwierciadłem być duszy...
Wszak od wieka do wieka
Krąży mądre wciąż zdanie,
Że człek stworzył ubranie,
Nie ubranie człowieka;
Ale ludzie się boją
Budzić spory, niesnaski,
Więc im jakoś nieswojo
Bez maski.

A najgorzej już może
Kiedy przyjdą złe chwile,
Przez zrządzenie gdy Boże
Czelność wzrośnie na sile,
Cała ludzkość gdy biada,
Że jej duszno na płuca,
Wówczas podłość i zdrada
Zdala maskę odrzuca,
Zbrodnia cnocie plwa w oczy,
Przemoc stoi na warcie,
I złe wszelkie się toczy
Otwarcie.

Źle jest, będzie zaś lepiej
Tylko wówczas dopiero,
Gdy się cnota pokrzepi
I zapragnie być szczerą;
Kiedy zginie pokusa
Rozdwojenia i złości,
A nauka Chrystusa
W krew się wszczepi ludzkości;
Gdzie ten Mojżesz co z skały
Wytknie prawdy zdrój laską,
I na świat krzyknie cały:
Giń masko?!

Wacław Szymanowski.

*
* *

Jak ów wędrowiec z powieści arabskiej, który, udawszy się w podróż, aby odszukać tajemnicze miasto o siedmiu srebrnych bramach i wieżach, wśród pielgrzymki swej często upadał, tracąc nadzieję dobicia do upragnionego celu, a jednak w końcu dotarł, dokąd zamierzał, tak zdąża umysł ludzki do prawdy, do świadomości, do wcielenia swych marzeń.

Potyka się i dźwiga, wątpi o sobie i znów się podnosi i tak dalej do nieskończoności.

Każde pokolenie dorzuca nową cegiełkę do wielkiej budowy, której na imię „cele ludzkości", bo... „czy chcecie, czy nie chcecie, czem Bóg kazał, będziecie."

T. J. Choiński.

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE.

Dzień 1-szy stycznia.

1433. Uchwalono w Krakowie wojnę z zakonem krzyżackim i wezwano na pomoc taborytów pod dowództwem Jana Pardusa i Jana Czapskiego.

1440. Węgry postanawiają powołać na tron Władysława Jagiellończyka.

1467. Królowa Elżbieta Rakuszanka, małżonka Kazimierza Jagiellończyka, wydaje na świat w Kozienicach królewicza, późniejszego króla Zygmunta I-go.

1491. Niepomyślna bitwa Jana Olbrachta z wojskiem węgierskiem Władysława, króla czeskiego.

Józef Czekalski.

Memento.

Smutnie pod względem finansowym kończymy rok stary.

Jak nietrwałą jest zwyżka kursu waluty rosyjskiej i jak małe w niej nadzieje pokładać można, widzieliśmy w ostatnich tygodniach. Parę bankructw, lub delikatnie mówiąc, nadużyć zagranicą, a najprzyjaźniejsza sytuacja zmienia się w jednej chwili w ruch silnie zniżkowy.

Rubel jest papierem czysto spekulacyjnym, a jego kurs jest zależny wprost od kaprysu spekulantów berlińskich.

Zwyżka zresztą kursu jest dla nas względnie tylko pożądaną; produkcja zbożowa kraju, na wywóz przeznaczona, na zwyżce kursu traci;—osiągając za wywiezione do Gdańska zboże pewną ilość marek, mamy za nie mniej rubli. Toż samo powiedzieć można o produkcji wełnianej.

Na odwrót, podwyżka kursu rubli ułatwia przywóz z zagranicy. Kupiec zagraniczny otrzymuje wprawdzie za swój towar też samą ilość rubli, ale rubli droższych, czyli więcej marek lub guldenów.

Przemysł nasz ginie, fabryki stoją. Jedne z powodu nadprodukcji rutynicznie wyrabianych artykułów, bez troski o nowe rynki zbytu, inne poprostu dla braku roboty, czego przyczyną w wielu razach jest to, że robota przez nie wykonywana była droga i zła. Konsument zwrócił się ku zagranicy, zkąd miał i lepiej i taniej, a robotnik stracił pracę i od jałmużny wygląda środków do życia.

Od tego zła, cła protekcyjne przemysłu krajowego nie uchronią. Pieniądz jest drogi; 10 i 12 od sta płacić muszą nawet przedstawiający doskonałą ewikcję.

Lenistwo myśli w produkcji, która żyje rutyną a nie postępem, brak istotnej i racjonalnej spójni pomiędzy przemysłem a handlem, z których każdy idzie sobie swoim torem—oto szare tło naszych stosunków obecnych.

Tak jest!... Powiedzmy to sobie wyraźnie i powtarzajmy często, i niech świadomość zła poprawić je nam pozwoli w roku, który się dziś zaczyna.

J. Włoskiewicz.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

W kopalni złota z pewnego kawałka gruntu wydobywało ziemię 3-ch robotników. Pierwszy z nich wydobywał w ciągu każdych trzech minut po 36 wiader, drugi w tym samym czasie mógł wydobyć tylko 35, trzeci zaś 32. Po każdych 3-ch minutach pracy pierwszy odpoczywał trzy minuty, drugi dwie, a trzeci jedną minutę. Wszyscy trzej rozpoczęli robotę jednocześnie i zaprzestali robić, wydobywszy 4,000 wiader ziemi.

Ile czasu było potrzeba na ukończenie tej pracy, i ile każdy z robotników w tym czasie wydobył wiader ziemi?

Znaleźć odpowiedź na też pytania, jeżeli zamiast 4,000 wiader, potrzebaby było wydobyć 8,000?

S. Dzierżanowski.

TELEGRAMY
„KURJERA WARSZAWSKIEGO".

Wiedeń 31-go grudnia.

Londoner Correspondenz donosi, że pomiędzy Austrją, Niemcami i Rosją nastąpiło porozumienie co do środków, jakie przedsięwzięte być mają przeciwko anarchistom. Między innemi ma być rozciągnięty nadzór nad pomieszkaniami i stołowniami. Oficerowie i żołnierze mają rewidować podróżnych. Korespondencja **będzie także podlegała nadzorowi.**

Nad kobietami mającemi stosunki z ludźmi podejrzanemi również policja ma rozciągnąć baczność. Świadkowie koronni mają otrzymywać przebaczenie i nagrody. W tymże samym przedmiocie nastąpiło także porozumienie z Francją i Szwajcarją. Ztąd wszędzie odbywają się rewizje koszar wojskowych i okrętów.

NEKROLOGJA.

† Ś. p. Marcjanna **Dąbrowska**, panna, opatrzona św. sakramentami, w dniu 30-ym grudnia 1884 r. życie zakończyła, przeżywszy lat 62. Pozostała familja zaprasza przyjaciół i znajomych na żałobne nabożeństwo odbyć się mające w kościele św. Antoniego (po-reformackim) przy ulicy Senatorskiej, o godzinie **10½** rano, w piątek, to jest dnia 2-go stycznia 1885 r., oraz na wyprowadzenie zwłok z tegoż kościoła i tegoż dnia o godzinie **1-ej** z południa na cmentarz powązkowski.

† Ś. p. Stanisław **Wolff**, starszy referent drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej, przeżywszy lat 48, zakończył życie dnia 30-go grudnia 1884 r. Pozostała w ciężkim smutku żona z dziećmi i siostrą zaprasza krewnych, przyjaciół i kolegów zmarłego na żałobne nabożeństwo odbyć się mające w dniu 2-im stycznia 1885 r., w kościele św. Krzyża, o godzinie **11-ej i pół** zrana, oraz na wyprowadzenie zwłok z tegoż kościoła zaraz po skończonem nabożeństwie na cmentarz powązkowski.

† Dnia 2-go stycznia, to jest w piątek, w kościele św. Józefa Oblubieńca (po-karmelickim), o godzinie **9-ej** zrana odprawioną zostanie msza żałobna za spokój duszy ś. p. Zofji z Rudnickich **Francois**, na którą córka i rodzeństwo zmarłej zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych.

Od redakcji „Kraju“.

„Kraj“ tygodnik **polityczny, społeczny i literacki**, wychodzić będzie w przyszłym 1885-ym roku w Petersburgu, na dotychczasowych warunkach, pod redakcją **Erazma Piltza,** przy głównym współudziale **Włodz. Spasowicza i Józ. Szyszło.**

„Kraj“ obejmuje następujące działy: 1) **Artykuły wstępne** o bieżących sprawach politycznych, społecznych i ekonomicznych (pióra Włodz. Spasowicza, Wład. Nowakowskiego, Kaź. Jarochowskiego, Józ. Szyszło, Józ. Tokarzewicza (Hodi'ego), Eraz. Piltza i innych); 2) **Przegląd polityki zagranicznej i ostatnie wiadomości;** 3) **Ziemia i kolonje słowiańskie** (kronika bieżąca z Galicji, Poznańskiego, Szląska, Czech, Morawji Kroacji, Słowencji, Serbji, Bułgarji, Czarnogórza i z ognisk życia polskiego zagranicą: w Austrji, Niemczech, Francji, Włoszech, Ameryce, Australji i t. d.); 4) **Stałe korespondencje „Kraju“: z Warszawy** (Bol. Prus, Rom. Wierzchejski, Jacek Soplica, Fr. Nowodworski i inni); **z Wilna** (Rawicz i dr T.); **z Wołkowyżskiego** (W. Bud.); **z Ichumeńskiego** (Mel. Wańkowicz); **z Kobryńskiego** (Z... A.); **z Dziśnieńskiego** (Ostoja); **z Polesia** mozyr. (R. Z.); **z Mińska** (Al. Jelski i Wił.); **z Witebska** (Fed.); **z Mohylewa** (Mohylowianin); **z Białegostoku** (Fr. Gliński); **z Grodna** (Forward); **z Kowna** (S. R. i Alterego); **z Podola** (dr Antoni J.); **z nad Tykicza** (Jan Iłgowski); **z Żytomierza** (Longinus); **z Wołynia** (hr. J. D. Karwicki); **z Kijowa** (M. Trzaska); **z Moskwy** (A. K.); **z Odessy** (Józ. Długosz); **z Kaukazu** (ks. J. Dobkiewicz); **z Syberji** (*,*); **ze Lwowa** (Józ. Rogosz); **z Krakowa** (Jan Grzegorzewski); **z Wiednia** (G. Smólski); **z Poznania** (Kaz. Jarochowski); **z Pragi Czeskiej** (dr Edw. Jelinek); **z Berlina** (Sz.); **z Paryża** (T. R.); **z Heidelberga** (Jan Karłowicz); **z Londynu** (R. W.); 5) **Literatura, Poezja, Krytyka i Artykuły społeczne:** Asnyk (Eli), Bałucki Mich., Bełza Wł., Bem N. G., prof. Bobrzyński M., Bogdanowicz E. (Bożydar), Budkiewicz W., Jaxa Bykowski Piotr, Chojecki Edmund, Cieszkowski hr. Zyg., prof. Czerny Fr., prof. Dybowski W., Dygasiński A., Faleński Fel., Głowacki A. (Prus), Gomulicki W., Grabowski E. Z., Hausner Ot., Jankowski Cz., Jarochowski Kaz., dr. Antoni J., ks. Kalinka W., Karłowicz J., Korzon T., Kotarbiński Józ., Kotarbiński Mił., Kubala L., Kuczyński J., Laskarys J., Librowicz Z., Lubowski E., Mahrburg Adam, Michalski A. L., Miłkowski (T. T. Jeż), Miriam, Modesta Marek, Natansonowie Edw. i Wł., Olszewski Fr., Oskierka A., Ostoja, Orzeszkowa E., Poznański Józ., Ptaszycki Stan., Przyborowski Wal., Rogosz Józ., prof. Rostafiński Józ., dr Rutowski Tad., Sienkiewicz H. (Litwos), Skiba Woł., Smolka Stan., Spasowicz Włodz., Stebelski Włodz., Straszewicz L., Tokarzewicz (Hodi), Trepka Edm., Tretjak Józ., Wołowski Mich., prof. Wróblewski Z., Zacharjasiewicz Jan., Zapolska Gabr., Zdziechowski Mar., Zgliński Daniel, Żukowski W. i inni; 6) **Przegląd prasy** polskiej, rosyjskiej i zagranicznej; 7) **Wiadomości bieżące** (najnowsze rozporządzenia rządowe, projekty reform, zmiany w służbie rządowej i t. p., ze szczególnem uwzględnieniem kraju zachodniego); 8) **Kronika Petersburska** i prowincjonalna; 9) **Kronika powszechna;** 10) **Nowości literackie** (sprawozdania); 11) **Kronika ekonomiczna** (W. Ż.); 12) **Ogłoszenia.**

„Kraj“ wychodzi co tydzień, w niedzielę, w objętości 24—28 stronic.

Przedpłata wynosi z przesyłką pocztową rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Zagranicą: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie 3, czyli franków 30, 15, 8, czyli marek 24, 12, 6, czyli guldenów 16, 8, 4.

Ogłoszenia po 15 kop. od wiersza. Przy wielokrotnych ogłoszeniach odstępuje się rabat. Doniesienia (w tekście) po 30 kop. od wiersza.

Numera pojedyńcze „Kraju“ w sprzedaży ulicznej 20 kop., na stacjach dróg żelaznych 25 kop.

Za zmianę adresu pobiera się 28 kop.

ADRES Redakcji i Kantoru: „Redakcija polskoj gazety „Kraj“ w Peterburgie, Płoszczad B. Teatra 10“.

Warszawska Ajencja „Kraju“:

RAJCHMAN i FRENDLER, Senatorska 18,

przyjmuje ogłoszenia z Królestwa i zagranicy, przedpłatę zaś wyłącznie z Warszawy.

Ajencje „Kraju“ za granicą:

W Poznaniu: Księgarnia A. Cybulski, Wilhelmstrasse 13;
W Krakowie: Księgarnia Gebethnera i Spółki;
We Lwowie: Księgarnia Gubrynowicza i Szmita.

REDAKTOR I WYDAWCA

Erazm Piltz.

Jako niezawodny środek leczniczy w wszelkich chorobach i obrażeniach zewnętrznych koni, bydła rogatego i innych zwierząt domowych, mamy honor polecić, znane już powszechnie,—ze swej skuteczności:



MYDŁO REZOLWUJĄCE



WYNALAZKU I WYROBU

D-ra PICHLERA,

Nadweterynarza w armji austrjackiej,

odznaczone na wystawie Paryzkiej Złotym medalem i na Warszawskiej Dyplomem Uznania.

Mydło rezolwujące d-ra Pichlera, składające się przeważnie z ekstraktów z ziół Alpejskich, wolne jest zupełnie od niestety tak często jeszcze w użyciu będących ostrych maści, którym zwykle za podstawę służą tak silnie drażniące kantarydy, skutkiem czego przy użyciu mydła rezolwującego, sierć w pierwotnej gęstości i barwie, w krótkim czasie — w takich nawet razach odrasta, w których wypada je użyć w sposób bardzo energiczny. Jako ważną również zaletę mydła rezolwującego, należy przytoczyć, iż działanie jego ogranicza się do miejsca, na którem zostało użyte, nie tak jak u innych maści, które się od ciepła zwierzęcia rozgrzewają, a potem rozpływając się nadgryzają w około skórę. Znakomita wyższość mydła rezolwującego nad wszystkiemi innemi dotychczas używanemi środkami, polega właśnie na tem, iż nie drażni ono wcale zwierzęcia i organizm jego pozostawia w spokoju, tak, że naczynia krwionośne, system nerwowy i organy oddychania, czynności swoje odbywają bez przeszkody i bez podrażnienia, czego przy użyciu wszelkich ostrych maści uniknąć nie podobna.

Bardzo ważną, a dotąd mało znaną zaletę mydła rezolwującego, stanowi to, że w wypadkach parchu lub świerzby, działa ono nie tylko jako specjalny leczniczy środek, lecz zarazem służy do zupełnego oczyszczenia skóry.

Mydło rezolwujące zaleca się szczególniej w następujących chorobach i obrażeniach koni: **w zołzach, kaszlu, guzach karkowych, kolanowych i łokciowych, obrażeniach kłębu, odgnieceniu popręgiem, odsednieniach od chomonta, szpacie kostnym, naroślach kostnych i wszelkich nabrzmiałościach na kosciach, opojach. liszajach, rozmaitych rodzajach grudy, wszelkich trudno gojących się ranach, gniciu strzałki, influenzy,** (zaraźliwy katar płuc) etc., etc.

Ogromne powodzenie, które towarzyszyło wprowadzeniu przez nas mydła rezolwującego do Królestwa Polskiego i Rossji, skłoniło obecnie p. Pichlera, do oddania nam wyłącznej sprzedaży mydła rezolwującego na całą kulę ziemską; dla zapobieżenia podrabianiom każde pudełko zaopatrzone jest od tej pory dwukolorową banderolą, na której umieszczona jest deponowana marka ochronna, przedstawiająca wadliwego konia, oraz facsimile naszego podpisu.

Składy mydła rezolwującego znajdują się we wszystkich większych miastach Europejskich, mianowicie: w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiedniu, Pradze, Peszcie, Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie, Lwowie, Wilnie, Kijowie, Petersburgu, Moskwie — i w bardzo wielu miastach prowincjonalnych w Królestwie i Rossji.

Kupujący mydło rezolwujące d-ra Pichlera, w którymkolwiek składzie w kraju lub zagranicą, raczą zwrócić baczną uwagę, aby na każdym pudełku znajdowała się banderola z marką ochronną i naszym podpisem. — W przeciwnym bowiem razie mydło jako nie pochodzące od d-ra Pichlera jest podrabiane i skutkować naturalnie nie może. Zaznaczamy iż dr. Pichler przez zastosowanie nowych ekstraktów roślinnych w ostatnim czasie wyrób swój do tego stopnia udoskonalił, iż mydło rezolwujące przy ścisłem zastosowaniu się do sposobu użycia, obecnie stanowczo niezawodnym i radykalnym jest środkiem, we wszystkich zewnętrznych chorobach i obrażeniach koni i bydła rogatego.

Cena Mydła Rezolwującego:

Większego	kawałka na 30 chorych koni	wynosi — w Warszawie,	rs.	2.50.
Średniego	kawałka na 15	„ „ „	„	1.75.
Małego	kawałka na 10	„ „ „	„	1.25.

Na przesyłkę i koszta opakowania należy dołączyć markami pocztowemi przy zamówieniu: 1—3 kawałków kop. 40, przy zamówieniu zaś 4—6 „ „ 60

Z kilkuset odebranych świadectw stwierdzających znakomitą skuteczność mydła rezolwującego, pozwalamy sobie przytoczyć kilka i zwracamy jednocześnie uwagę, iż mydło rezolwujące D-ra Pichlera usilnie zalecanem jest przez **„Warszawską Lecznicę dla Zwierząt“** i przez „Redakcję Hodowcy“, przeciwko rozmaitym zewnętrznym chorobom koni.

Wny Henryk Sokołowski z Zarijowej, poczta Dęża Więka, Gub. Chersońska. powiat Elisawetgradski pisze nam:

„Upraszam Sz. Panów o przysłanie mi jaknaspieszniej mydła rezolwującego za Rs. 10, które załączam. W Maju dostałem kawałek jego od sąsiada i zapewniłem się, iż znakomicie działa na różne choroby koni; spędziłem kilka martwych kostek, pipaków, wyleczyłem kilka koni na kaszel, a także wyleczyłem konia, który kulał przeszło rok wskutek złego stąpania, teraz doświadczenia robię na klaczy stadnej, którą mi wczoraj sparaliżowało.

Zarząd główny majątków W. Jana Brzozowskiego w Popieluchach donosi:

„Zadosyć czyniąc prośbie Panów, mam honor donieść, iż mydło Dra Pichlera, dotąd używałem tylko do wyleczenia jednego konia, który miał zadawnione spleczenie, Postępując według wskazówek podanych w przepisach sposobu używania mydła, miałem najpomyślniejszy rezultat, do dwóch tygodni koń zupełnie był zdrów i przy użyciu do jazdy nie okazywał najmniejszego bólu w nodze.

Jak wiadomo, zadawnione spleczenie jest nadzwyczajnie trudne do wyleczenia, a przynajmniej najuporczywsze, z tegu względu, iż wszystkie środki wymagają bardzo długiego oczekiwania na wyzdrowienie kompletne, zaś mydło Dra Pichlera zadziwiająco szybko sprawia najlepszy skutek, przytem nie pozostawia żadnych ran na skórze. Śmiało więc rzec można, że każdy mający do czynienia z końmi, obowiązkowo powinien mieć zapas takiego mydła, chcąc mieć zdrowe konie.“

W. J. Korabanowicz z Tungetarewa, Gub. Orenburska, pisze nam:

„Już po raz drugi wypisuję od Panów mydło rezolwujące i proszę złożyć odemnie wyrazy szczerego uznania i podziękowania wynalazcy Drowi Pichlerowi, za skutki tego lekarstwa, jako niezawodnego i nieocenionego środka na wszystkie choroby zewnętrzne u koni i bydła. Pożądanem byłoby, aby Panowie obywatele spieszyli się z poznaniem tego środka, dokazującego w bardzo krótkim czasie prawdziwych cudów we wszystkich chorobach zewnętrznych u zwierząt. Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli Panowie oświadczenie to moje w pismach wydrukujecie.“

W-ny Karol Jokisz, w Konielskiej Popówce przez Umań, Gubernia Kijowska, pisze:

„Upraszam o rychłe wysłanie mi mniejszych 10 kawałków mydła rezolwującego, które dawniej już od panów wypisywałem. Używając od dość dawna mydło rezolwującego na różne choroby koni, doszedłem do przekonania, iż środek ten znakomity leczy prędko, radykalnie i skutecznie. Każdy właściciel nietylko stadniny, lecz koni, bezwarunkowo obejść się bez niego nie może. Należne Rs. 10 i Rs. 1 na przesyłkę dołączam.“

W. Sierpowski w Starej Sianiawie Gub. Podolska, donosi:

„Upraszam Szan. Panów o wysłanie mi podług adresu, mydła rezolwującego Dra Pichlera dla koni, które już brałem dawniej, a które w rozmaitych chorobach jako to: przy ochwacie, sparaliżowaniu i wywiehnięciu, okazało się nad wszelkie spodziewanie skuteczne.“

Warszawska Lecznica dla Zwierząt donosi nam pod datą dnia 13-go Września r. b.

„Otrzymane trzy kawałki mydła rezolwującego Dra Pichlera, nieomieszkamy zużyć w naszej Lecznicy, gdyż i dotychczas zastosowywaliśmy je z bardzo dobrym skutkiem, i wszystkim radzimy używanie tego mydła w jaknajobszerniejszych rozmiarach, ponieważ działanie tego preparatu w właściwych chorobach jest znakomite.“

Mydło rezolwujące D-ra Pichlera. w Królestwie Polskiem i Rossji nabywać można:

w Częstochowie u p. Maurycego Neufelda & Com.
w Działoszycach u p. Damazego Patka,
w Kaliszu u p. Troski,
„ u p. Bryndzy,
w Koninie u p. Krywulta,
w Kielcach u p. Wł. Wierzbickiego,
w Lublinie u p. T. Głębockiego,
„ u p. Wł. Żaryna i S-ki.
„ u p. Donimirskiego & Com.,
w Łęczycy u p. Gryżewskiego i S-ki,
w Łodzi u p. Lipińskiego,
w Łomży u p. Piotrowskiego,
w Piotrkowie u p. Żarskiego,
w Płocku u p. H. Kempner,
w Radomiu u p. Hertla,
w Rawie u pp. Szwajcera i Berlinera,
w Sieradzu u p. I. Friedmanna,
w Siedlcach u p. Płacheckiego,
w Sochaczewie u p. Ł. Kłobuszewskiego,
w Tomaszowie Rawskim u p. Szai Mink,
w Wojsławicach u p. Rudnickiego,
w Petersburgu u pp. Sztola & Schmidta,
„ w Ruskiem Farmaceutycznem Tow. Handlowem,

w Moskwie u p. R. Keller & Comp.,
„ u p. H. Bruhnsa,
w Bielcach u p. Kozieradzkiego,
w Charkowie w Ruskiem Farmaceutycznem Tow. Handlowem,
w Ekaterynosławiu u p. K. I. Stefanowicza,
w Elizawetgradzie u p. A. Golcza,
„ u p. S. Ginsberga,
w Kazaniu u Braci Babanowskich & Comp.,
w Kamieńcu Podolskim u p. Angle.
w Kamieńcu Litewskim u p. Olszańskiego,
w Kostromie u p. I. Prokopenki,
w Kroży u p. I. Urbanowicza,
w Liwnach u pp. Komlewa & Jasieńskiego,
w Mińsku Guber. u p. Margulca.
w Mohylewie Podolskim u p. Kozieradzkiego.
w Orle u p. Ed. Herrmutha,
w Rossianach u p. I. I. Iwanowicza & Comp.,
w Riazaniu u p. Wagnera,
w Sorokach u p. Kozieradzkiego,
w Stawropolu u p. L. G. Brochnickiej,
w Twerze u p. P. Falkowskiego,
w Wilnie u p. W. Andrzejkowicza,
„ u p. Grużewskiego,
w Winnicy u p. Długołęckiego,

KUPCOM ODSTĘPUJE SIĘ RABAT.

WASILEWSKI & PILASKI,

w WARSZAWIE, **ulica Nowo-Senatorska № 5, Hotel Litewski.** w KIJOWIE, **Kreszczatik № 12.**

W drukarni *Kurjera Warszawskiego*.—Plac Teatralny nr 475c (nowy 5). Дозволено Цензурою—Варшава 20 Декабря (1 Января) 1884 г.
Redaktor Wacław Szymanowski.—Wydawca Gustaw Gebethner.

KALENDARZ NA ROK 1885.

STYCZEŃ.

20	1	C.	**Nowy rok 1885**. Fulg. ○
21	2	P.	Makarego Opata.
22	3	S.	Daniela M. i Genowefy P.
23	4	N.	Tytusa i Grzegorza B.
24	5	P.	Telesfora P. i Emiljanny.
25	6	W.	**Trzech Króli.**
26	7	Ś.	Lucjana M. i Teodora W.
27	8	C.	Seweryna Opata ☾
28	9	P.	Marcjanny P. M.
29	10	S.	Agatona P. i Wilhelma B.
30	11	N.	**1 po 3 Kr.** Hig. P. i Hon. P.
31	12	P.	Arkadjusza M.
1	13	W.	* Weroniki Panny.
2	14	Ś.	Hilarego D. K. i Feliksa.
3	15	C.	Pawła I Pustelnika
4	16	P.	Marcella P. i Ottona ●
5	17	S.	Antoniego Opata W.
6	18	N.	**2 po 3 Kr.** *Im. J.* Kat. ś. Piot.
7	19	P.	Kanuta Kr. i Henryka B.
8	20	W.	Fabjana i Sebastjana MM.
9	21	Ś.	Agnieszki P. M.
10	22	C.	Wincentego i Anastaz. M.
11	23	P.	*Zaślub. N. M. P.* i Ildef.
12	24	S.	Tymoteusza B. M. ☽
13	25	N.	**3 po 3 Kr.** Nawr. ś. Pawła A.
14	26	P.	Polikarpa B. i Pauliny Wd.
15	27	W.	Jana Chryzost. B. W.
16	28	Ś.	Flawiana i Leonarda M.
17	29	C.	Franciszka Salezego B. D. K.
18	30	P.	Martyny P. M. ○
19	31	S.	† Piotra Nolasko i Marcel.

LUTY.

20	1	N.	**Starozap.** Ign. B. i Bryg. P.
21	2	P.	**Oczyszczenie N. M. P.**
22	3	W.	Błażeja B. M.
23	4	Ś.	Ansgarego i Andrzeja BB.
24	5	C.	Agaty P. M.
25	6	P.	Doroty P. M. i Teofila. ☾
26	7	S.	Romualda Op.
27	8	N.	**Mięsop.** Jana z Mat. W.
28	9	P.	Apolonji P. M. i Cyr. Al. B.
29	10	W.	Scholastyki P.
30	11	Ś.	Lucjana Biskupa.
31	12	C.	Gaudentego B. W. i Eulalji.
1	13	P.	Juljana M. i Eufrozyny P.
2	14	S.	Walentego Kapł. Męcz.
3	15	N.	**Zapust.** Faustyna i Jordana
4	16	P.	Juljanny P. M. [W. ●
5	17	W.	Sylw. B. i Don. M.
6	18	Ś.	† *Popielec.* Symeona Bisk. M
7	19	C.	Konrada Wyzn.
8	20	P.	Eucherjusza i Leona B.
9	21	S.	Maksymjana Biskupa.
10	22	N.	**Wstęp.** Katedr św. Piotra
11	23	P.	Piotra Dam. i Rom. [Ant. ☽
12	24	W.	Macieja Apostoła.
13	25	Ś.	† Sygfryda Biskupa.
14	26	C.	Aleksandra B. i Fort. M.
15	27	P.	† Leandra Biskupa.
16	28	S.	† Romana Opata.

* Oznacza dni galowe.
† Oznacza wigilje i posty.

MARZEC.

17	1	N.	**Sucha.** Albina B. i Antoni-
18	2	P.	Heleny Cesarz. [ny M. ○
19	3	W.	Kunegundy Cesarzowej.
20	4	Ś.	Kazimierza Królewicza.
21	5	C.	Teofila Biskupa.
22	6	P.	Wiktora i Wiktoryna M.
23	7	S.	Tomasza z Akwinu W. D. K.
24	8	N.	**Głucha.** Jana Bożego i Beaty
25	9	P.	Franciszki Wdowy. [P. ☾
26	10	W.	* 40 Męczenników.
27	11	Ś.	Konstantyna Wyzn.
28	12	C.	Grzegorza Pap. D. K.
1	13	P.	Nicefora B. i Modesty P.
2	14	S.	* Matyldy Król. Wdowy.
3	15	N.	**Srodop.** Longina Męcz.
4	16	P.	Cyrjaka D. i Tac. M. ●
5	17	W.	Gertrudy P. i Patryka B.
6	18	Ś.	Gabryela Ar. i Cyryl. Jer. B.
7	19	C.	*Józ. Obl. N. M. P.*
8	20	P.	Archippa W. i Winc. B.
9	21	S.	Benedykta Opata.
10	22	N.	**Biała.** Boguch. B. i Okt. M.
11	23	P.	Katarzyny Kr. Sz. ☽
12	24	W.	† Marka i Tymoteusza MM.
13	25	S.	**Żwiast. N. M. P.** Iren. B.
14	26	C.	Ludgiera Bisk.
15	27	P.	*7 Bol. N. M. P.* Ruperta B.
16	28	S.	Syxta P. i Doroteusza M.
17	29	N.	**Kwietnia.** Cyrylla Djak. M.
18	30	P.	Kwiryna i Angeli. M. ○
19	31	W.	Balbiny P. i Kornelli M.

KWIECIEŃ.

20	1	Ś.	Teodory M. i Hugona B.
21	2	C.	*Wielki.* Franciszka à Paulo.
22	3	P.	*Wielki.* Ryszarda Biskupa.
23	4	S.	*Wielka.* Izydora B.
24	5	N.	**Wielkanoc.** Wincent. Fer.
25	6	P.	**Wielkanocny.** Wilh. i Cel.
26	7	W.	Epifanjusza Bisk. ☾
27	8	Ś.	Djonizego Biskupa.
28	9	C.	Marji Kleofy.
29	10	P.	Ezechjela Pror.
30	11	S.	Leona Pap. D. K.
31	12	N.	**Przewodnia.** Juljusza P.
1	13	P.	Hermeneg. Kr.
2	14	W.	Tyburc. i Waler. MM.
3	15	Ś.	Anastazji i Bazylisy P. ●
4	16	C.	Lamberta M.
5	17	P.	Aniceta Pap. i Męczennika
6	18	S.	Apolonjusza M.
7	19	N.	**2 po W.** *Grob. Chr.* Herm. M.
8	20	P.	Sulpicjusza M.
9	21	W.	Anzelma B. Dokt. K.
10	22	Ś.	Sotera i Kaja M. ☽
11	23	C.	Wojciecha B. Męcz.
12	24	P.	Jerzego M. i Fidelisa Kapł.
13	25	S.	Marka Ewangelisty.
14	26	N.	**3 po W.** *Op. ś. Józ.* Marcelina
15	27	P.	Teofila Bisk. [i Kleta M.
16	28	W.	Witalisa M. i Pawła od krz.
17	29	Ś.	Piotra Męczen. ○
18	30	C.	Katarzyny Seneńskiej.

MAJ.

19	1	P.	Filipa i Jakóba Apost.
20	2	S.	Zygmunta Kr. i Atanaz.
21	3	N.	**4 po W.** Znal. św. Kr. i Al. P.
22	4	P.	Florjana M. i Mon. Wd.
23	5	W.	Piusa V Papieża.
24	6	Ś.	Jana Ap. w Oleju.
25	7	C.	Domicelli Panny. ☾
26	8	P.	**Stanisława Bisk. M.**
27	9	S.	Grzegorza B. Naz. D. K.
28	10	N.	**5 po W.** *N.M.P.Ł.* Izyd. Or.
29	11	P.	† Mamerta B.
30	12	W.	† Pankracego M.
1	13	Ś.	† Serwacego B.
2	14	C.	**Wniebowst. P.** Bonifacego
3	15	P.	Zofji z 3-a córkami. [M. ●
4	16	S	Jana Nepomucena i Ubalda.
5	17	N.	**6 po W.** Paschalisa Wyzn.
6	18	P.	* Feliksa K. i Eryka Kr.
7	19	W.	Celestyna P. i Iwona W.
8	20	Ś.	Bernardyna Sen.
9	21	C.	Donata i Wiktora MM. ☽
10	22	P.	Julji P. M. i Hel. P.
11	23	S.	Dezyderjusza B.
12	24	N.	**Zesł. Ducha ś.** Joanny W.
13	25	P.	**Świętny.** Grzeg. VII i Ur. P.
14	26	W.	Filipa Nereusza Wyzn.
15	27	Ś.	† * Magdal. de Paz. i Jana P.
16	28	C.	Germana B. i Aug. B. Ap.
17	29	P.	† Teodozji Męcz. [Angl. ○
18	30	S.	† Feliksa P. M. i Ferdynanda.
19	31	N.	**Trójcy św.** Petron. i An. P.

CZERWIEC.

20	1	P.	Fortunata i Prok. M.
21	2	W.	Blandyny P. M.
22	3	Ś.	Erazma B. i Klotyldy Kr.
23	4	C.	**Boże Ciało.** Optata B.
24	5	P.	Bonifac. B. M. i Walerji
25	6	S.	Norberta Biskupa. ☾
26	7	N.	**2 po Sw.** Roberta Opata.
27	8	P.	Maks. i Med. B.
28	9	W.	Pryma i Felicjana M.
29	10	Ś.	Małgorzaty Kr. Szkoc.
30	11	C.	Barnaby Apostoła.
31	12	P.	*Serc. P. Jez.* Onufrego Pust.
1	13	S.	Antoniego z Padwy. ●
2	14	N.	**3 po Sw.** Bazylego B.
3	15	P.	Wita i Modesta M.
4	16	W.	Benona B. i Justyny P.
5	17	Ś.	Adolfa Bisk. i Marcjana.
6	18	C.	Marka i Marceljana M.
7	19	P.	Gerwaz. i Protaz. MM. ☽
8	20	S.	Sylwerjusza Pap.
9	21	N.	**4 po Sw.** Alojzego Gonzagi.
10	22	P.	Paulina Biskupa.
11	23	W.	Agrypiny Panny M.
12	24	Ś.	*Narodz. św. Jana Chrz.*
13	25	C	Prospera Biskupa.
14	26	P.	Jana i Pawła MM.
15	27	S.	† Władysława Kr. Węg. ○
16	28	N.	**5 po Sw.** Iren. B. i Leona P.
17	29	P.	**Piotra i Pawła Ap.**
18	30	W.	Emilji i Lucyny PP.

LIPIEC.

19	1	Ś.	Teodoryka Kapł.
20	2	C.	*Nawiedzenie N. M. P.*
21	3	P.	Heljodora i Anatoljusza B.
22	4	S.	Józefa Kalasantego W.
23	5	N.	**6 po Sw.** Cyryla i Met. B. ☾
24	6	P.	Dominiki Panny M.
25	7	W.	Apolonjusza i Wilibalda. B.
26	8	Ś.	Elżbiety W. i Kiliana B.
27	9	C.	Cyrylla B. i Anatolji M.
28	10	P.	7 braci MM. synów Felicyty.
29	11	S.	Sabina W. i Pelagji P. M.
30	12	N.	**7 po Sw.** *Jana z D.* Jana Gw.
1	13	P.	Małgorzaty P. M. [O. ●
2	14	W.	Bonawentury B.
3	15	Ś.	Rozesł. Ap. i Henr. Ces.
4	16	C.	*N. M. P. Szkaplerznej.*
5	17	P.	Aleksego Wyznawcy.
6	18	S.	Szymona z Lipn. i Kamilla.
7	19	N.	**8 po Sw.** Winc. à Paulo W.
8	20	P.	Eljasza Pr. i Czesł. W. [☽
9	21	W.	Praksedy P. i Daniela Pr.
10	22	Ś.	Marji Magdaleny.
11	23	C.	Apolinarego B. M.
12	24	P.	Krystyny P. M.
13	25	S.	Jakóba Ap. i Krysztofa M.
14	26	N.	**9 po Sw.** *Kun. K. P. Anny*
15	27	P.	Natalji P. M. [*M. N. M. P.* ○
16	28	W.	Innocentego P. i Celsa M.
17	29	Ś.	Marty i Serafiny P.
18	30	C.	Abdona i Senneny MM.
19	31	P.	Ignacego Lojoli W. i Heleny

SIERPIEŃ.

20	1	S.	Piotra w Okowach.
21	2	N.	**10 po Sw.** *N.M.P.Aniel.* i Alf.
22	3	P.	* Znal. św. Szczep. M. ☾
23	4	W.	Dominika Wyzn.
24	5	Ś.	*N. M. P. Śnieżnej.*
25	6	C.	*Przemienienie Pańskie.*
26	7	P.	Kajetana W. i Donata B.
27	8	S.	Cyrjaka, Larga i Smaragda.
28	9	N.	**11 po Sw.** Romana M.
29	10	P.	Wawrzyńca M. ●
30	11	W.	Zuzanny i Dygny Panien.
31	12	Ś.	Klary Panny.
1	13	C.	Hipolita i Kasjana MM.
2	14	P.	† Euzebjusza Wyznawcy.
3	15	S.	**Wniebowz. N. M. P.**
4	16	N.	**12 po Sw.** *Jacka W.* i Rocha
5	17	P.	Anastazjusza B. ☽
6	18	W.	Agapita Męczennika.
7	19	Ś.	Rufina Wyznawcy.
8	20	C.	Bernarda Op. D. K.
9	21	P.	Joanny Fremiot Wd.
10	22	S.	Symforjana i Tymoteusza.
11	23	N.	**13 po Sw.** Filipa Benic. W.
12	24	P.	Bartłomieja Ap.
13	25	W.	Ludwika Króla. ○
14	26	Ś.	Zefiryna P. M.
15	27	C.	*Przen. Ś. Kaź.* i Cezarjusza.
16	28	P.	Augustyna Bisk.
17	29	S.	Ścięcie ś. Jana Chr. i Sabiny
18	30	N.	**14 po Sw.** *N.M.P.Poc.* i Róży
19	31	P.	Rajmunda W. i Rufiny P.

WRZESIEŃ.

20	1	W.	Idziego Opata.
21	2	Ś.	Stefana Króla Węg. ☾
22	3	C.	Bronisławy P.
23	4	P.	Rozalji Panormit. P.
24	5	S.	Wawrzyńca Justyniana B.
25	6	N.	**15 po Sw.** Zacharjasza Pr.
26	7	P.	† Reginy Panny M.
27	8	W.	**Narodz. N. M. P.** ●
28	9	Ś.	Gorgonjusza M.
29	10	C.	Mikołaja z Tolent. Wyzn.
30	11	P.	* Prota M. i Emiljana B.
31	12	S.	Walerego i Salezego M.
1	13	N.	**16 po Sw.** *Im. Marji* i Maury-
2	14	P.	*Podw. św. Kr.* [ljusza B.
3	15	W.	Nikodema Kapł. M. ☽
4	16	Ś.	† Cyprjana B. i Eufemji P. M.
5	17	C.	5 blizn ś. Franciszk. i Just.
6	18	P.	† Józefa z Kopertynu.
7	19	S.	† Januarjusza B. Męcz.
8	20	N.	**17 po Sw.** Eustachjusza M.
9	21	P.	Mateusza A. E.
10	22	W.	Maurycego M.
11	23	Ś.	Tekli Panny M.
12	24	C.	*N. M. P. od wyz. niew.* ○
13	25	P.	Aurelji Panny i Kleofasa M.
14	26	S.	Cyprjana M. i Justyny P.
15	27	N.	**18 po Sw.** *Ład. z G.* i *Pr. ś. St.*
16	28	P.	Wacława Kr. Czesk.
17	29	W.	Michała Archanioła.
18	30	Ś.	Hieronima D. K. i Zofji Wd.

PAŹDZIERNIK.

19	1	C.	Remigjusza B. W. ☾
20	2	P.	Aniołów Stróżów.
21	3	S.	Kandyda Męczennika.
22	4	N.	**19 po Sw.** *N.M.P.Róż.* Fr. S.
23	5	P.	Placyda M.
24	6	W.	Brunona Wyzn.
25	7	Ś.	Justyny P. M.
26	8	C.	Brygidy Wdowy. ●
27	9	P.	Bogdana Op. i Dyonizego.
28	10	S.	Franciszka Borg.
29	11	N.	**20 po Sw.** *Winc. K.* Placydy.
30	12	P.	Maksymiljana B.
1	13	W.	Edwarda Kr.
2	14	Ś.	Kaliksta P. M.
3	15	C.	Jadwigi Wd. i Teresy P.
4	16	P.	Florentyna Biskupa. ☽
5	17	S.	Wiktora Biskupa.
6	18	N.	**21 po Sw.** Łukasza Ewan.
7	19	P.	Piotra z Alkantary W.
8	20	W.	*Przen. św. Wojc.* i Ireny P.
9	21	Ś.	Urszuli P.
10	22	C.	Korduli P. i Alfonsa B.
11	23	P.	Jana Kapistrana Wyzn. ●
12	24	S.	Rafała Archanioła.
13	25	N.	**22 po Sw.** *Jana K.* i Kryspa
14	26	P.	Ewarysta P. [i Kryspj. MM.
15	27	W.	Sabiny M.
16	28	Ś.	Szymona i Tadeusza Ap.
17	29	C.	Narcyza B. i Euzebji P. M.
18	30	P.	Zenobji P. i Zenobjusza B. ☾
19	31	S.	† Wolfganga Biskupa.

LISTOPAD.

20	1	N.	**Wszystkich świętych.**
21	2	P.	*Dzień Zadusz.* Wiktoryna B.
22	3	W.	Huberta B. i Wen. P.
23	4	Ś.	Karola Bor. i Emeryka Kr.
24	5	C.	Zacharjasza i Elżb. Małż.
25	6	P.	Leonarda Wyzn. ●
26	7	S.	Wilibrarda Biskupa.
27	8	N.	**24 po Sw.** *Op.N.P.M.* Godfr.
28	9	P.	Teodora M.
29	10	W.	Andrzeja z Awelinu W.
30	11	Ś.	Marcina B.
31	12	C.	Marcina Papieża.
1	13	P.	Dydaka W.
2	14	S.	Serapiona M. ☽
3	15	N.	**25 po Sw.** *St. Kost.* i Leop. W
4	16	P.	Edmunda B.
5	17	W.	Salomei P.
6	18	Ś.	Maksyma B.
7	19	C.	Elżbiety Kr. Węg. Wd.
8	20	P.	Feliksa Walezjusza W.
9	21	S.	*Ofiarowanie N. M. P.*
10	22	N.	**26 po Sw.** Cecylji P. M. ○
11	23	P.	Klemensa P. M.
12	24	W.	Jana od Krzyża Wyzn.
13	25	Ś.	Katarzyny P. M.
14	26	C.	* Piotra i Aleksandra B. M.
15	27	P.	Barlaama i Józefata Pust.
16	28	S.	Mansweta B. i Rufa M.
17	29	N.	**1 Adw.** Saturnina Męcz. ☾
18	30	P.	Andrzeja Ap.

GRUDZIEŃ.

19	1	W.	Eligjusza Bisk.
20	2	Ś.	Bibjanny Panny M.
21	3	C.	Franciszka Ksaw. W.
22	4	P.	Barbary P. M.
23	5	S.	Piot. Chryzol. i Sabby Op.
24	6	N.	**2 Adw.** Mikołaja B. W. ●
25	7	P.	† Ambrożego B. D. K.
26	8	W.	**Niep. Pocz. N. M. P.**
27	9	Ś.	Leokadji P. M. i Walerji P.
28	10	C.	*N. M. P. Loret.*
29	11	P.	Damazego Pap. W.
30	12	S.	Synezjusza i Aleksandra M.
1	13	N.	**3 Adw.** Łucji Panny M.
2	14	P.	Spirydjona B. W. ☽
3	15	W.	Ireneusza Męczennika
4	16	Ś.	† Euzebj. B. M. i Albiny P.
5	17	C.	Łazarza B.
6	18	P.	*† Gracjana Bisk.
7	19	S.	† Fausty Wdowy.
8	20	N.	**4 Adw.** Teofila Męczennika.
9	21	P.	Tomasza Apost. ○
10	22	W.	Zenona żołn. i Flawjana M.
11	23	Ś.	† Wiktorji P. M.
12	24	C.	† *Wigilja.* Zenobjusza M.
13	25	P.	**Narodzenie Chr. Pana.**
14	26	S.	**Szczepana Męczennika.**
15	27	N.	**Po Nar.** Jana Ewangelisty.
16	28	P.	Młodzianków. ☾
17	29	W.	Tomasza Kantuaryjsk. B.
18	30	Ś.	Eugeniusza Biskupa.
19	31	W.	Sylwestra Papieża.

Wykład znaków kalendarskich: Nów ●. — Pierwsza kwadra ☽. — Pełnia ○. — Ostatnia kwadra ☾.